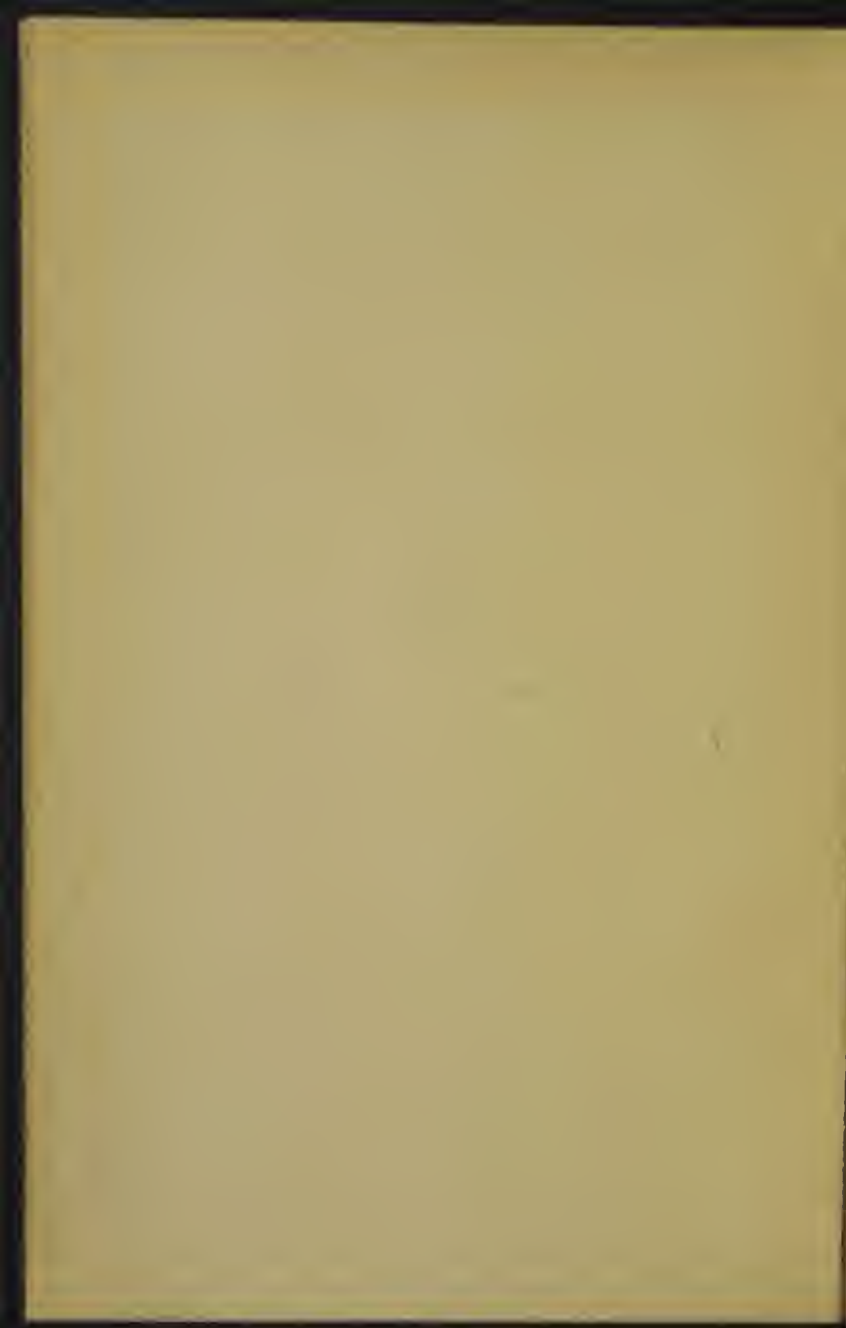






POD BLACHĄ.



POD BLACHĄ. _z

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII WIEKU

przez

J. I. Kraszewskiego.

Hoffman

Bo nie cała Warszawa jest
blachą pokryta.

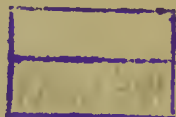
Osiński.

TOM III.

WARSZAWA.

Nakład Gebethnera i Wolffa.

1881.



Kraków. — W drukarni Wł. L. Anczyca i Sp.

I.

W kilka dni po opisanych wypadkach, gdy post przerwał bale, tańce i muzyki, zaczęto szukać innych rozrywek, o których już wyżej wspominaliśmy.

Piękna hrabianka Aneta pierwsza ufundowała na Górze, to co naówczas z francuzka zwano, *un bureau d'esprit*. Schodzono się wieczorami na dowcipne zabawy, na szermierkę słów...

Najczęściej były to zapytania ciągnięte losem i odpowiedzi na nie dwuznaczne, rymy i dorbiane do nich poezje, rozwiązywanie zagadek, pisanie portretów, jakie już na dworze cesarowej Katarzyny były w modzie, deklamacje i epizody z klasycznych dramatów.

Panie i panowie którzy grywali w *Sociecie*, z przybranymi amatorami, stawiali do monologów

i scen pojedynczych. Francuzi naturalnie bardzo byli czynni w tych popisach, gdyż nikomu nawet na myśl nie przychodziło aby się coś podobnego po polsku odbywać mogło.

Tak jak Fryderyk II. nie wierzył aby po niemiecku coś dobrego napisać można i otwarcie ogłaszał to przekonanie, społeczność polska nie przypuszczała aby w języku „ludowym“ można być dowcipnym. Posługiwano się francuszczyzną we wszystkiem a gdy kto po polsku mówić lub pisać musiał, przez wyrazy polskie, jak kości z pod skóry przebijała w środku tkwiąca francuszczyzna.

Teatr naówczas jedyny znany, jedyny uznawany, składał się z Corneilla i Racine'a, z Voltaire'a w końcu; gdyby kto był przypadkiem przełożył już istniejącego Goetza z Berlichingen Goethego, z pewnością byłby świat polski takie o nim wydał zdanie, jak oburzony król pruski.

Z francuzkich mistrzów nie mieliśmy jeszcze dobrych przekładów, bo młody Osiński i inni poczynający literaci, choć już na nich sil swych probowali, nie ogłaszali jeszcze drukiem tłumaczeń, a język polski w wyższem towarzystwie uważany był za zupełnie niewyrobiony do wyrażenia wszystkich delikatnych uczuć odcieni.

Uchodziło to za niesłyszane zuchwalstwo, za nadzwyczajny poryw gdy Kropiński ważył się

na Julję i Adolfa i na miłośne suspiiry w narodowej mowie!

Wreszcie francuzi napelniali salony, niby więc przez samą grzeczność dla nich musiano francuzieć, *et on ne demandait pas mieux*.

Nikt się nie domyślał nawet, oprócz może Staszica, Chreptowicza, Krasickiego, Niemcewicza, że język mógł do patriotyzmu należeć. Wielki świat nie zaprzętał się tém wcale, kosmopolityzm który jest jego cechą, panował w nim; kosmopolityzm, suknia jak szlafrok wygodna, której do stanu i figury przykrawać nie potrzeba.

Biuro dowcipu raz uzyskawszy prawo obywatelstwa w towarzystwie, przenosiło się z jednego do drugiego salonu. Osoby do niego należące wszędzie prawie były też same.

Piękna Aneta przed innemi prym brała, choć nie zbywało i innym damom na tym dowcipie łatwym, do którego język francuzki dostarcza na pół gotowego materiału.

Nieskończenie zawsze trudniej być dowcipnym po polsku, bo u nas każde słowo, jak dawniej obywatel rzeczypospolitej, chodzi samopas, po jednemu je zbierać potrzeba aby coś skleić, gdy po francuzku lada dwa kawałki tego odwiecznego kastetu — dają się przeciuchno na zawołanie złożyć na figielek udatny.

Ci co z jakichkolwiek bądź powodów do biór i ich towarzystwa nie należeli, pocieszali się tém

że na dowcipnych pisali nie zawsze dowcipne paskwile.

Przybrały one formę, która się łatwo przyjęła, bo była dogodną. Tak jak za sejmu czteroletniego składano tysiącami *zagadek*, na wszystkie znakomitości ówczesne — tak teraz tworzone z nich — *katalogi*.

Były to spisy osób, z rozmaitemi przyczepionemi do nich, często nadzwyczaj złośliwemi dodatkami.

Katalogów takich rozmaitych obiegała w rękopismach po świecie moc wielka. Niektóre z nich przez usługane ręce dostawały się do osób umieszczonych w nich, obudzały gniewy, domysły, wywoływały często zemstę.

Autorów tych świstków dojść było trudno. Rzucił ktoś słówko, ktoś inny do niego drugie uczepił — było to dzieło zbiorowe *opinii publicznej*, czyli jak się wyrażano po pałacach — *opinii ulicznej*, a często i zemsty prywatnej.

Jednego dnia takie — biuro dowcipu miało zasiadać pod Blachą.

Wszystkie panie i wszyscy panowie, należący do towarzystwa, stawili się do tego popisu i zapasów. Osób było mnóstwo. Wielki stół największego salonu obsiadły najpiękniejsze damy, za których krzesłami postawiali adjutanci ich i wielbiciele.

Ci co tu miejsca nie znaleźli, i te co do do-

weipu pretensji nie miały dnia tego, przechadzali się, cicho i ostrożnie stąpając po pokojach.

Książę Józef należał do tych co siedzieć nie lubili i nie umieli. Najczęściej przechadzał się, stając niekiedy na rozmowę z jedną z pań lub przyjaciół, nigdy prawie nie zatrzymując się długo przy jednej osobie.

Tego dnia zdawał się niespokojniejszym jeszcze niż zwykle, zaglądał często do pierwszego pokoju, jakby kogoś wyglądał albo się spodziewał, przechadzał się nie opodal ode drzwi i odwołać od nich nie dawał.

Nareszcie przez na wpół uchylone podwoje spostrzegł suknię czarną z wstęgami pasowemi i wybiegł.

Sylwia wchodziła z panią Czeżewską, blada, z oczyma płonącemi, trochę mniej może śmiała niż zwykle.

Książę pospieszył naprzeciw niej z kilką słowy grzeczności i wielkiem, rzadkiem u niego wzruszeniem, którego odbłask odbił się zaraz na wdzięcznej, smutnej twarzyczce szambelanówny.

Nikogo nie było w pokoju — na panią Czeżewską gospodarz wcale się zważać nie zdawał i długim, poufnym szeptem zatrzymał już mającą wchodzić szambelanównę.

Mówił coś tak żywo i gorąco, jakby chciał słowy temi przelać swą duszę, odwagę i swobodę w dziewczę strwożone.

Podał jęj potęm rękę i uroczyście sam wprowadził ją na salę. Zwrócono na nich oczy, pani Vauban podniosła się, co u nięj było prawie nie słychanęm, wyciągając ku nadehdozącej chudą rękę z długimi palcami.

Kilka pań, odwróciwszy się ku drzwiom, odezwalo się ze stłumionemi wykrzyknikami.

— *A! Sylvie! Enfin! La voila!* Zaczęto ją witać natrętnie, ze wszech stron, z nadskakowaniem i ciekawością bardziej może naprzykrzoną niż miłą. Rumieniec na twarz jęj występował i niknął, ledwie cichemi półsłówkami na grzeczności odpowiadała.

Za to biedna Czeżewska, najzupełniej zapomniana, skłopotana, gniewna, musiała się prawie narzucić aby w ostatku być postrzeżoną i choć skinieniem głowy pozdrowioną.

Zrobiono Sylwii miejsce przy stole, obchodząc się z nią jak z osobą chorą, szczególnięj pieczołowitości wymagającą.

Szambelanówna, która to zwrócenie na nią uwagi wszystkich widocznie męczyło, natychmiast poczęła się zajmować kartkami na stoliku leżącemi, czytając pytania i odpowiedzi, unosząc się nad dowiecipem obojga, aby znowu rozmowę i zabawę uczynić ogólną i móżdż zniknąć w tłumie.

Nie rychło się to jednak udało dokonać, dopiero gdy hrabianka Aneta, czy z litości czy przez

żywość sobie właściwą wniosła by dalej pisano dewizy, gra weszła znów na dawne tory.

Książę, który się przechadzał zdala, nie spuszczał Sylwii z oka. Ta ochłonawszy nieco gdy gorączkowy spelił rumieniec, wróciła do bladości którą po sobie zostawiła choroba.

Była z nią może, jak mówiono na wielkim świecie, więcej interesującą, lecz owa świeżość młodości, jaką z sobą przywiozła z Burzymowa, znikła bezpowrotnie. Po liu jęj przeszedł żar gorącego cierpienia i zwarzył je, na wieki zostawując piętno po sobie, kwiatek to był co mógł na słońcu się orzeźwić, i być świeżym jeszcze, ale już raz był zwiadł na lodydze.

Niektóre z dewiz i odpowiedzi pobudzały do śmiechu i ta jakaś tęsknota, którą z sobą Sylwia przyniosła, ustąpiła wkrótce weselszemu nspობieniu.

Hrabianka Aneta z tryskającym iskrami świetnemi dowiecipem, co chwila odnosiła zwycięztwa.

Gdy się wreszcie i przebrało i uprzykrzyło zadawać i rozwiązywać temata różne, ktoś wniósł aby szambelan Pokutyński wystąpił z próbą w roli Nathana, jaką miał grać jednego z następnych wieczorów na Górze.

Napróżno szambelan się wymawiał że nie był przygotowanym, że roli swej na pamięć jeszcze dobrze nie umiał. Znalazła się Athalja na stoliku, panna Fabre gotową była podjąć się urzędu su-

fiera i nieszczęśliwego Pokutyńskiego zmuszono ażeby powszechnemu zadosyć uczynił żądaniu.

W czasie gdy się na to zbierało, siedzące przy stole panie odzyskały swobodę, zaczęły z miejsc swych wstawać, przechadzać się, szukać dogodnych do słuchania i Sylwia której towarzyszyła troskliwa bardzo o nią gospodyni, a jeszcze więcej nadskakujący baron de Beaumont, wysunęła się także, rada że będzie mogła zejść trochę z oczów i ukryć się w cieniu.

Pomimo męztwa jakie jej wielka miłość dawała, mimo odwagi jaką czerpała z rzucanych na nią wejrzeń księcia; Sylwia drżała w duszy i bladła na twarzy ile razy przypomniła sobie co świat mówił o niej.

Chodzić tak z piętnem na czołe jestże co boleśniejszego nad to? Choćby chwilami nie czuło się upokorzenia i mogło o niem zapomnieć, każdy powrót jego to nowe wstrząśnienie, ból nowy.

Sylwia dla której okropne to położenie nowém było—to odzyskiwała moc nad sobą, to na siłach opadała i traciła ją.

Rumieniec i bladeść mieniały się na jej twarzy, wesele i smutek przelatywały po niej i znikały. Żadna z tych zmian nie uszła pewnie oka księcia, który niespokojny przechadzał się zdala, ale oczyma jej pilnował. Tak samo pani Vauban jego strzegła i poruszenia śledziła, czytając w twarzy co myślał i czuł.

Musiła odgadnąć zapewne że potrzeba było ułatwić im rozmowę, porozumienie czy przejednanie—ale, wśród tylu oczów zwróconych dnia tego ze szczególném natężeniem na Sylwią — księciu niepodobna prawie było zbliżyć się do niej.

Vauban przeszedłszy się parę razy z Sylwią po salonie, porzuciła ją na chwilę samą, a poszła coś szepnąć księciu, który wkrótce potem zniknął.

— Wiesz, odezwała się pani Sewerynowa Potocka do pani Cichockiej, która przy niej usiadła — wiesz, jestem w admiracji dla tej Burzymowskiej. Co za odwaga! jaka pewnoś siebie! *Quelle majesté! quelle admirable prestance!*

Cichocka westchnęła.

— Któraż z nas jej niema, — rzekła melancholicznie, — gdy kocha i jest pewna że ją kochają? Naówczas idzie się na oślep, nawet przeciwko ludzkim szyderstwom!

— Ale to dziewczę, nie wiem czy ma lat dwadzieścia! bez doświadczenia!—mówiła hrabina — co za instynkt!

— Właśnie, zdaje mi się że ten brak doświadczenia, ta nieświadomość niebezpieczeństwa, czyni ją tak odważną, — odparła Cichocka.—A potem! Szczęśliwa! kocha się po raz pierwszy!

Mówiaca to znaną była ze swęj sentymentalności, nawet na owe czasy — wygórowanej.

— Tak—admirują ją, ale mnie los jej prze-

raza, dokończyła pani Sewerynowa — dla płochego człowieka taką mieć miłość to nieszczęście!

Coś w tém jest tragicznego!

— A! z miłości się nie umiera! — dokończyła cicho piękna blondynka — bo inaczej jabym już dawno umrzeć powinna!!

Wśród téj rozmowy i przechadzek po salonie nim Pokutyński się zebrał do deklamowania jakiegoś ustępu z roli Nathana, szmer się zrobił na sali, wiadomość jakąś podawano sobie z ust do ust.

Wszyscy się zaczęli cisnąć i dowiadywać od sąsiadów.

— Co to jest?

— Co się stało?

Nierychło dopiero ktoś umiał wytłumaczyć to poruszenie tém, że z Szulca nadbiegł posłaniec od księcia ex-podkomorzego, który oddawna już był bardzo słaby, i zażądał się widzieć z synowcem.

Wszyscy wiedzieli, że stary ex-podkomorzy dogorywał, nie przyjmował już nikogo, i co chwila spodziewano się katastrofy.

Nikt się jednak nie zasmucił tém bardzo, a nikt też nie zdziwił, gdy powiedziano że księżę wyjechał na stryja wezwanie.

Wkrótce potem i goście się rozjeżdżać zaczęli. Czeżewska, która smutną tego dnia rolę grała zapomniana w kątku, kręciła się też, na-

mawiając jeszcze nie bardzo zdrową i silną Sylwię do powrotu.

Znalazła ją nadspodziewanie gotową na ten raz spełnić jej życzenie i obie panie, pożegnawszy gospopodynię, która je, szepcząc coś Sylwii na ucho, odprowadziła do progu — natychmiast wyjechały.

Zaledwie siadły do powozu i o kilkanaście kroków oddaliły się od pałacu, gdy Sylwia, nie pytając wcale Czeżewskiej, nie tłumacząc się jej, pociągnęła za sznur i przywoławszy służącego, kazała jechać do majorowej.

Wojska była w pierwszej chwili tą samowolą tak zdumiona, iż zaprotestować nieumiała, dopiero gdy karetą ruszyła, zawołała przerażona.

— Do majorowej! o tej porze! Sylwio kochana! cóż to ma znaczyć! Ja cię nie rozumiem. — Co to jest?

— Muszę, muszę jeszcze dziś być u niej — odparła bardzo stanowczo szambelanówna.

Głos, którym wymówiła te słowa, przeraził może więcéj Wojskę niż to nagłe a dziwaczne postanowienie. — Drżący był, poruszony, ale zuchwały, rozkazujący.

Czeżewska pochwyciła ją za rękę.

— *Silvie! ma chère Silvie!* — co ci jest! — krzyknęła.

— Co mi jest? — odparła z rodzajem rozpaczy wychowanica. Jakto! ty nie widzisz! nie

wiesz! pytasz mnie co mi jest?... Ja kocham, kocham szalenie! ja tracę głowę, ja wstyd straciłam! Ja go kocham, a on mnie kochając odpycha! Muszę go widzieć dziś, dziś jeszcze! Mówić z nim. — Niech się los mój rozstrzygnie... Poszłabym piechotą! Nie zlekłabym się oczu tysięcy ludzi!

Czeżewska posłyszawszy to, — krzyknęła, zasłaniając sobie oczy.

— Ja jestem zgubioną! poczęła. — Wina wszystkiego spadnie na mnie! Jam nie niewinna! Wszystko to te niegodziwe kobiety ukartowały, aby ciebie i mnie zgubić!

— Mnie! — przerwała Sylwia gwałtownie wybuchając. Jam się zgubiła sama! Jestem zgubioną, bo kocham go nad życie, nie mnie uratować nie może, bo bez niego — umrę. Dopiero ukochawszy go, jak szalona postrzegłam, że on moim być niemoże. Ja, żoną jego — to niepodobieństwo! Więc — kochanką — a potem, umrzeć! umrzeć!!

Sparła się na rękę Sylwia i zamilkła nagle, Czeżewska w dłonie ująwszy głowę, siedziała jak zabita.

Cicho powtarzała błagającym płaczliwym głosem.

— Sylwio! Sylwio!

— Stało się! To było przeznaczeniem mojem — mówiła szybko szambelanówna. Gdy go

pierwszego dnia zobaczyła przez okno, uczulani że on mnie pokocha, że ja go kochać muszę.

Potém strach mnie ogarnął; a potém zapomniałam o wszystkiém -- kochał mnie! kocha mnie.. Potrafię unirzeć!

Powóz się zatrzymał przed kamienicą. Sylwia natychmiast rzuciła się do drzwiczek, pierwsza wbiegła na wschody, nie patrząc nawet na Czeżewską, która słabnąc z przestachu goniła za nią, zadzwoniła do drzwi z całą siłą, i taksamo wpadła do saloniku, w którym siedziała majorkowa.

Nie mówiąc nic, nie witając jej, oczyma spytała gdzie ma iść.

Habakowska zwróciła się ku bocznym drzwiom, ale nim je czas miała dla niej otworzyć, Sylwia sama chwyciła za kłankę i wbiegła do drugiego pokoju drzwi zatraskując za sobą.

W ciemnym jego kącie stał książę — Sylwia rzuciła się ku niemu, i nie rzekłszy słowa, gdy Pepi chciał wziąć jej rękę do pocałowania, uwiesiła mu się na szyi. Było coś tak namiętnego, tak gwałtownego w tym ruchu, w łkaniu jej i oddechu, że książę który wiele doświadczył w życiu, uczul się przejęty jak młode chłopię, przycisnął ją do piersi i długo nie mógł przemówić.

Z lekka wręście odsunął ją od siebie jeszcze drżącą a już zawstydzoną.

— Uspokój się — odezwał całując jęj rękę z uszanowaniem, które dziwnie odbijało po namiętnym uścisku. Zaklinam cię — uspokój się. Mówmy rozsądnie!

To mówiąc njął w pół i zaniósł na kanapę, na któręj ją posadził, sam miejsce zajmując przy nięj. Sylwia niepuszczała go od siebie, głowę położyła na jego ramieniu, oczy zamknęła, zdawała się chcieć tak usnąć lub umrzeć, czując serce jego bijące przy sobie.

Książę razy kilka chciał mówić, zamykała mu usta, całował jęj ręce, słyhać było płacz cichy.

Nagle Sylwia się podniosła — odepchnęła go, spojrzała czarnemi oczyma i wstrząsłszy się całą, poczęła.

— Chciałeś rozmowy, Pepi — mówmy! tak! mówmy wszystko... Mówmy prawdę, żadnego kłamstwa, złudzeń żadnych.

Gorycz która została na dnie tego marzenia, potrzeba wypić do kropli, ale mężną jestem, bo wiedziałam co mnie czeka! Zabrakło jęj głosu, książę korzystając z milczenia, wziął rękę jęj i całować ją zaczął, potém odstąpił krok, starając być panem siebie.

Twarc jęgo zwolna wypogodziła się i przybrała wyraz istotnie idealny.

— Sylwio droga — winienem ci prawdę. — Mówmy chłodno.

Jestem winien! Miłość zawróciła mi głowę,

nie obrachowałem następstw. — Winien jestem, ale nieuczciwym być niechcę — nadto cię kocham, nadto wysoko podniosła mnie miłość twoja.

Tej miłości winienem uwielbienie, cześć, ofiarę!

Dałem ci serce, nie odbiorę ci go, ale więcej dać nie mogę. Nie należę do siebie, zawód mój skończony nie jest, czuję, że przyjdzie dla mnie godzina. w której powołany zostanę. Żołnierzem jestem przede wszystkim, wiązać się nie mogę żadnemi obowiązkami, bo życie moje do mnie nie należy.

Swobodny nie zważałbym na nic — byłabyś żoną moją — jestem niewolnikiem mojego powołania, jestem żołnierzem.. Urosnąć muszę na wodza, dobić się sławy, której mnie dotąd los pozbawił. To moje przeznaczenie. Na tom poprzysiągł, a nawet dla miłości twój nie złamię przysięgi.

Sylwia słuchała oddech wstrzymując. Księżę mówiąc to zmienił się zupełnie. Salonowy Pepi urósł, podniósł głowę, oczy mu się iskrzyły, stał się idealnie pięknym, razem i strasznym.

Coś bohaterskiego, wielkiego jakby aureolą go otoczyło.

— Miłość moja dla ciebie, — dodał — ani ustała ani ustanie — ale będzie świętą i czystą.

Chcę cię mieć ideałem nie kochanką.

Sylwia zapłakała, chciała się rzucić ku nie-

mu, książkę zwolna posadził ją znowu na kanapie, a sam odstąpił.

— Zrozumięj mnie! — zawołał — nie obwiniaj. Kiedym cię pokochał, była to miłość płocha, nie przewidywałem że ona mnie zmieni, odrodzi — uczyni sumiennym. Kocham cię i szanuję, Sylwio! Pragnę twojego szczęścia!

— A! zabijasz mnie! — odpowiedziała szambelanówna z płaczem, odpychasz... A! nie, to niepohamowanie dla mnie, to nowa jakaś miłość każe ci się mnie pozbyć..

— Mylisz się, chłodniej coraz począł książkę, nie kochałem nigdy nikogo tak jak ciebie. Masz tego dowód, bo z najgorętszej namiętności czynię ci ofiarę.

— Ofiary tej nie chcę; ani poszanowania — nie — miłości twój tylko — przerwała z łkaniem Sylwia.

Książkę stał walczyć z sobą widocznie.

— Zlituj się, rzekł po chwili — jesteś jeszcze w gorączce — zlituj nademną i nad sobą.

— W gorączce? — przerwała Sylwia — ja chcę w niej pozostać. Niemam rozumu, mieć go niechcę...

— Ja go za nas dwoje mieć muszę, — odparł książkę powoli..

Po chwili milczenia Sylwia podniosła oczy zapłakane.

— Rozstać się więc mamy! zawołała — ja tego nie przeżyję!

— Sylwio kochana — powoli sam się zmuszając do chłodnego mówienia, aby biedną szambelanównę z jej exaltacyi wywieść, książę — mówmy rozsądnie. Chcę twojego szczęścia... chcę abyś była zmuszoną, choćby krótkiem cierpieniem lepszą, spokojniejszą przyszłość okupić.. Znajdziemy godnego ciebie człowieka...

Szambelanówna się zerwała z dumą i pogardą na czołe.

— I będziemy go we dwoje oszukiwali? — zawołała szydersko. — O! nie! mości książę. — Mogę być nawet kochanką, ale nie będę wiarolomną gdy przysięgnę, byłabym podłą. Przysiądź zaś miłości, mając w sercu inną — nie potrafię — byłabym oszustką...

— Niezrozumiałaś mnie, — odparł książę zimno, nigdy myśli podobnej nie miałem. Szanuję cię dziś i chcę cię móżdż szanować do zgonu...

— Dlatego chcesz się mnie pozbyć, wydając za mąż! — odparła szydersko znowu.

— Chcę abyś nie cierpiała tyle, abyś zmuszoną była o mnie zapomnieć — rzekł smutno książę...

— Nie kochasz mnie już? to słowo zagadki, — przerwała Burzymowska. Powinnam to była przeczuć, odgadnąć! Mógłżebyś pomyśleć bez zgrozy,

że inny mężczyzna ręki mej tylko dotknie.. nazwie się panem moim!

Księżę stał blady i zmieszany, prawie zrozpaczony, jakby już nie wiedział co mówić. Sylwia po chwili zaczęła z gorączką wznowioną.

— Pocóż to wszystko? Zostaw mnie jak jestem! Zniosę co mi ta miłość zgotowała, dla niej! dla ciebie! Widziałeś mnie dziś, jestem nieulekniona!

Szłam na oczu tysiące złych, zazdrosnych, zabijających, z uśmiechem, pod pretekstem! Stałam pod nim, nie drgnąwszy — bo, kocham!

I z rozpaczą rzuciła mu się na szyję — księżę uwolnił się od uścisku żywo i odskoczył.

— Prawda! zaczęła Sylwia padając na kanapę — taka miłość jak moja, straszna! zabijająca... , lecz nie lękaj się, nie zabije ona nikogo oprócz mnie.

Wyście do innej przywykli, do tej wystudzonej co trwa godzinę i topnieje jak śnieżek na słońcu, co się światła boi, ludzi lęka i — kłamie!

Nie już nie odpowiedział księżę, stał z daleka. Sylwia mierzyła go oczyma — nieporuszony wytrzymywał jej wzrok.

— Ojca masz, którego kochasz Sylwio — odezwał się spokojnie — jeśli nie dla mnie, dla niego coś powinnaś uczynić. Niech mi twój los i jego łzy nie ciążą na sumieniu...

— Ojca! mojego, pocziwego dobrego ojca, który nie wie o mojem szaleństwie, — odezwała się Sylwia ręce załamując, — o! tego mi żal!.. o! żal mi go...

Zerwała się z siedzenia i chwyciwszy za głowę powtórzyła kilka razy.

— Ojciec! biedny ojciec!

I jakby sama do siebie dodała.

— Nie mogę! nie mogę, ani dla ciebie — ani dla niego! — Nie mogę.

Scena ta przedłużyła się jeszcze, lecz książę wytrwał z przybraną powagą, którą uczucie hamować się starał, — uspokajając, starając się wybuchy Sylwii i jej roznamiętnienie ukolysać powoli.

Przychodziło mu to z trudnością wielką. Długo potrzasała głową, opierała się, słuchać nie chciała, z ust jej wyrwały się wymówki szyderskie, lecz nareszcie uległa wpływowi głosu ukochanego, uśmierzyła się i cicho rozplakała.

Była to nowa próba dla księcia, którego łzy kobiece drażniły — a na ten sposób nie miał, oprócz pokornych prośb i zaklęć.

Tak godzin parę upłynęło a że się z czasem nie liczone, mogło by się to było niewiedzieć jak długo przeciągnąć, gdyby siedząca w saloniku Cześewska, przez cały ten czas milcząca i rozgniewana, nie była wreszcie przywiedziona do ostateczności. Kilka razy już porywała się z krzesła, jak gdyby wychodzić chciała, rzucając pio-

runujące wejrzenie na majorową, na której pytania wcale nie odpowiadała, odwracając się od niej z pogardą. Zniecierpliwiona w ostatku zaczęła podniósłszy głos domagać się gwałtownie powrotu do domu. Z kolei Habąkowska na to żądanie jej, nie dała w początku żadnej odpowiedzi.

Zagroziła pani Wojska że pójdzie przebojem szukać Sylwii i wstała znówu.

— Przepraszam cię, zawołała Habąkowska, w moim domu, ja panią jestem i żadnej *esklandry* nie dopuszczę.

Miarkując wszakże iż do wybuchu głośniego przyjść może, bo Czeżewska coraz straszliwiej burząc się podskakiwała ku drzwiom, majorowa sama do nich zapukała.

Długo nie dano żadnej odpowiedzi, lecz gdy zastukała powtórnie, Sylwia z twarzą zapłakaną wyszła nagle, nie spojrzała na gospodynię, nie szukała oczyma Czeżewskiej, i jak wpadła tu niemal bezprzytomna, tak zbiegła do powozu na powrót, cała zatopiona w sobie.

Wojska zadyszana, przeklinając los swój dogoniła ją już siedzącą w kąciku karety z osłonioną twarzą.

Nie przemówiwszy do siebie pojechały tak do domu.

Tu szambelan niespokojny czekał na nie z Zybkiem na dole, a gdyby miał cokolwiek więcej

przenikliwości i baczenia postrzegł by łatwo na twarzy córki i na pani Czeżewskiej ślady weale niezwykłego usposobienia.

Pocziwy Burzymowski niczego się w świecie nie domyślając, nie przypuszczając aby się mogło im co trafić wychodzącego z trybu i ram powszedniego żywota, przywitał córkę wesoło, nie dopatrzył w niej smutku, ani śladu łez na oczach; ze złym zaś humorem pani Wojskiej będąc oswojony, poprowadził je jak zawsze, baraszkując na górę.

Wzruszyło go tylko że córka czuliej niż zwykle uściskała go i ucałowała, co po chwili wesołość starego podniosło jeszcze.

Po wschodach prowadząc kobiety śmiał się, gdęrał, żartował że tak późno wracały.

Każdy wyraz jego niezręczny, ranił Sylwią w serce samo.

— No, już nie możecie powiedzieć, — wołał patrząc w oczy córce — ażebyście się nie ubawiły za wszystkie czasy! Choć to już u drugich post, ale u panów i w piątek się najeść można u stołu i w popielce nawet zabawić, tak oni sobie radzić umieją, aby był wilk syty i koza cała.

Sylwia nie mogła się zebrać na żadną odpowiedź, i chciała się zaraz cofnąć do swego sypialnego pokoju, pod pozorem bólu głowy, gdy stary dodał.

— Ból głowy, to nie z czego innego tylko że

oni tam pod Blachą palą jak w łaźni. Ale, ale, ja się też dziś dobrze spocilem u Micia!

Sylwia posłyszawszy to imię, mimowolnie się zawróciła.

— Cóż się z nim dzieje? — zapytała.

— Źle z nim jest—odparł szambelan — Źle! źle! Doktor mówił w początku że—nie, nie! A tu, piękne mi to nie! zaczynają teraz przebąkiwać, nie o okulawieniu, ale że bodaj czy mu nogi do kolana odjąć nie wypadnie,

Pan Bóg laskaw, może się bez tego obejść—ale, kto wie? a nuż się co przyrzuci? W takich razach zawsze prędzej złego się trzeba spodziewać niż dobrego. Biedne pocziwe chłopczysko.

I muszę go też oczyścić, — dodał ciągnąc dalej, bom niesłusznie przed tobą oszkalował.

Powiedziałem ci, zdaje mi się, (bom się domyślał tego) że za dziewczynę jakąś bić się musiał. Otóż, przekonałem się że byłem w błędzie. Coś to innego zaszło... Micio bo nigdy tak płochym nie był.

— A o cóż im pójść mogło? — zapytała Sylwia z trochę ciekawości.

— Coś posłyszałem, piąte przez dziesiąte, z boku, ale tają przedemną, nie wiem prawdziwie dla czego. Tom tylko zasłyszał z ust godnych wiary — mówił zniżając głos szambelan — że się pojedynekował stając w obronie honoru pewnej damy z towarzystwa (imienia mi nie chcieli po-

wiedzieć) na którą rzucono potwarz o jakieś bliskie stosunki z księciem Józefem.

Ujął się za nią — i — musieli się strzelać.

Szambelan mówił tu zupełnie spokojnie, nie się nie domyślając.

Sylwia która z razu słuchała obojętnie, zwróciła się ku niemu i zbliżyła bladniejąc na twarzy.

— Damy? z towarzystwa? — zapytała głosem ledwie dosłyszonym.

— Tak jest, damy! — odparł żywo szambelan. — Nie wiem i nie pojmuję, dlaczego przedemną z tego taką czynią tajemnicę. Przecież mi zwykle wszystkie sekreta komunikują, a nikogo nie wydałem. Com się naprosił nazwiska! nie i nie! Niezmiernie byłem ciekawy, zaprzysięgałem że nikomu nie wyjawię, — jak się uparli, — nie powiedzieli mi, a ani podsłuchać, ani się domyśleć nie mogłem. Już to, — dokończył stary, — mądry kto odgadnie jaka z pań na porządku u księcia, bo on się slysze, co tygodnia w inną kocha...

Sylwia stała drżąca patrząc mu w oczy, rumieniąc się i bladniejąc. Myśl że Mieczysław mógł się bić za nią, ubodła ją jak sztyletem w serce. Chcąc ukryć wzruszenie przeszła się parę razy po salce.

— Byłeś u Micia dzisiaj, — odezwała się cicho... — jak że on to... znosi?...

— Mężnie! — zawołał Burzymowski, — chociaż Dr. Witaczek i inni lekarze i chirurgowie, stra-

sznie głowami potrzęsają. Ucinanie nogi jeszcze nie jest postanowione... Ma gorączkę, rana się zaogniła... Gangreny się lękają, czy coś — ale — pan Bóg łaskaw!

Sylwia załamała ręce — łzy się jej w oczach kręciły.

— Wiesz ojcze, — odezwała się, — bardzo mi żal tego biednego Micia... Tak dobry był dla mnie, a ja go często tak drażniłam po dziecinnemu. Gdybyś ojcze pozwolił, bardzobym go chciała odwiedzić. Wiem, że sprawiłoby mu to przyjemność...

Spojrzała na ojca, stał mocno zdziwiony.

— A, co ci tam po tém, albo jemu! — odparł. — Widok dla ciebie nieprzyjemny, a jemu narobisz tylko kłopotu.

— Ale, jabym sobie tego bardzo życzyła! — rzekła nastając Sylwia. — Mój tatku!

Oprzeć się już nie mogła téj myśli, że Grabski za nią pojedynkować się musiał.

Popierając prośbę swoją, pocałowała go w ramię, oczy miała łez pełne.

— Mój tatku! ja bo go chcę koniecznie odwiedzić... Mnie go żal!

— Ha! jeżeli koniecznie ci się tego zachciało, to trudno, — rzekł Burzymowski. — Wiesz że ja ci się nie rad sprzeciwiam. Jutro rano pójdę mu oznajmić o tém, żeby się trochę przygotował, a około południa...

— Tak, tatku, koniecznie! — powtórzyła Sylwia niespokojna.

To mówiąc a nie chcąc mu dać poznać, że się jój lzy do oczów cisnęły, Sylwia prędko dała ojcu dobranoc i pospieszyła się skryć w swoim pokoju.

Po wyjściu dopiero córki, szambelan, wybierając się już na dół a kombinując jój znalezienie się wieczorne, ucinki, mowę, ton jój, zmiarkował że Sylwia była, jak się wyrażał, „nieswoją“.

— Coś jój jest? Juściż nie za Miciem przepada tak! Może niezdrowa, zmęczyła się tą nieustanną zabawą. Żeby mi tylko, uchowaj panie Boże, nie zachorowała znowu, — mówił sam do siebie wychodząc. — To nierozsądne palenie pod Blachą może najmocniejszego człowieka zdrowia pozbawić, a ona taka delikatna!

Gdyśmy tu przyjechali, była jak różyczka, a teraz mi tak pobladła!..

W samych drzwiach od sieni stała, jakby czekając na jego wyjście z salonu pani Wojska Czeżewska. Burzymowski zabierał się jój dać dobranoc i co rychlój się wymknąć, bo go srodze nudziła, gdy jójmość szepnęła, palce kładąc na ustach, że się z nim na osobności rozmówić potrzebuje.

Miała minę nastraszoną i wielce ważne sprawy zapowiadającą.

Zajść do pokoiku Czeżewskiej, który cały

przesiąkły był jak ona wonią ambry, jakimś pudrem i różnemi kosmetykami, dla samego już nosa szambelańskiego było rzeczą niemiłą, ale tajemnicze to wezwanie budziło ciekawość i trochę niepokoju o córkę, o którą jedynie chodzić mogło. Odmówić nie śmiał.

Wojska czując się odpowiedzialną, coraz była niespokojniejszą. Całej okropnej prawdy przed ojcem wyjawić nie myślała, ale miała zamiar przynajmniej namawiać go do powrotu na wieś.

Gdy szambelan kręcąc nosem w krzesło usiadł, Czeżewska zajęła miejsce naprzeciw niego i obracając pierścionki na chudych palcach, odezwała się jękając.

— Pan szambelan już to sam musiał dostrzedz, że naszej Sylwce powietrze miejskie widocznie — nie służy.

Burzymowski głową potwierdził uczynioną uwagę.

— Czyby też nam nie czas, gdy się już i karnawał skończył, dla odpoczynku do Burzymowa powrócić?

— Hem! — rzekł szambelan, — a! zapewne! Nie byłbym temu przeciwnym wcale. Asindzka masz lepszą zręczność wpłynąć na Sylwkę, wyrozumieć ją... Ja, ja się nie sprzeciwiam.

— Mówiłam już panu szambelanowi, — ciągnęła po chwili namysłu Czeżewska, — że wpływ

mój na Sylwkę teraz jest bardzo mały! Opanowały ją te panie z pod Blachy...

Powaga ojcowska jest większą, panby powinien wyrazić swe żądanie.

— Zapewne! — odparł zmieszany Burzymowski, — ale, asindzka wiesz, że ja mojej jedynaczce gwałtu w niczém czynić nie chcę. Jeżeli ona się tu bawi, a towarzystwo to jej miłe, a dla czegożby nie miała go używać? Dzięki Bogu, jeszcze nam staje na to... Prawda, powiem asindzce, że mi tu sakwę doją, co się zowie, a! cóż robić' kiedyś grzyb leż w kosz! Na to ja abym córce służył, a worek mój, aby w nim czerpała!

— Ale zdrowi! ale spokój! ale przyszłość!! — odezwała się nacisk kładąc na wyraz ostatni Czeżewska.

Burzymowski, który znaczenia jego nie rozumiał, popatrzył na mówiącą i zniżając głos, a zakrywając się ręką, szepnął.

— Może się co trafi!.. Zmiłuj się asindzka! Nie kryję, że życzyłbym sobie tego. Z wielkiego świata gdyby się udało skomportować zięciaszka, ślicznieby było, bo w Burzymowie... zejdziemy na prostego szlachciurę. Hm? nie masz tam asindzka jakich widoków? domysłów? sygnałów?

Czeżewska zesznurowała usta.

— Prawdziwie nie wiem... Nie! coś mi się nie zdaje, — szepnęła. — Pannie Sylwii podobać się trudno, bardzo wysoko patrzy!

Rozśmiał się stary uradowany.

— A! — rzekł, — bo czuje że wiele warta! Tu drugiej takiej jak moja nie ma na całą Warszawę.

To powiedziawszy czekał Burzymowski, czy mu Czeżewska jeszcze co nie powie, Wojska zaś zdawała się wyglądać, czy się on jój z czém nie zwierzy.

Milczeli tedy oboje.

Szambelan się wreszcie dorozumiał, że więcej już nie nie usłyszy — i wstał.

— Asindzka jeśli to uważasz za dobre abyśmy powrót na wieś przyspieszyli, wpływaj na nią powoli. Zechce ona powracać, nie mam nic przeciwko temu, a woli jeszcze zostać — zostanę...

Dobréj nocy!

I wyszedł.

Wojska spojrzała za nim pogardliwie, i gdy się drzwi zamknęły, nie znalazła w gniewie swym na zaślepionego starego innego wyrazu na scharakteryzowanie go, nad bardzo gminny.

Mruknęła zeicha: — Cybula!

I ruszając ramionami powtórzyła z przyjemnością trafne to przezwisko: Cybula!..

Burzymowski, który zehodząc po wschodach nucił jakąś piosenkę, wielce z siebie uradowany, nie domyślał się, jak go wystrychnęła niegodziwa Czeżewska, która długo zabawiała się jeszcze, mrużąc -- Cybula!

II.

W pokoju zieloną przysłonionym firanką, w którym leżał ranny Grabski, cicho było jak w klasztorze i jak w nim smutno.

Doktorowie opatrzywszy i wysondowawszy ranę, właśnie byli odeszli oświadczając, że przypuszczenie, jakoby amputacya mogła być wskazaną, co najmniej przedwczesne było. Znaleziono, że stan nie pogorszył się tak dalece i nie odejmował nadziei zachowania nogi ranionój.

Zmęczony opatrywaniem Grabski na wpół drzéwał, wpół marzył. Kilka książek rozrzuconych około niego na łóżku i krzesłach świadczyły, że długą, przymuszoną samotność i obozwardnienie czytaniem skracać się starał.

Wśród ciszy téj z przedpokoju dał się słyszeć dobrze mu znany, wesoły i zawsze hałaśliwy głos pana szambelana.

— A co? byli doktorowie? Co? odpoczywa? To dobrze!

I Burzymowski ze swą rumianą, okrągłą twarzą pokazał się w progu.

— Widzisz jak częstym gościem jestem! A dziś to ci jeszcze wesołą, miłą przyniosłem nowinę. Na twojem miejscu będąc, podskoczyłbym, mimo nogi zranionej. Zwiastuję ci wizytę ślicznej panny!

Grabski pobladł i poruszył się niespokojnie.

— A no, spodziewam się że ślicznej, kiedy ci powiem, że jaśnie wielmożna szambelanówna Sylwia Burzymowska ma cię zaszczyścić odwiedzinami swemi!.. A co? nie złoteż to serce?

Przyznam ci się, — kończył siadając przy łóżku i rozglądając się dokoła, — muszę popatrzyć, żeby tu co gdzie nie leżało nieprzyjemnego dla jęj ocząt, jaka okrwawiona chusta, lub bandaże...

Pocziwy szambelan, troskliwy o córkę żywo zaczął gospodarować po pokoju, lecz nie znalazł do schowania. Grabski tém się właśnie od innéj młodzieży różnił, iż do przesady lubił czystość i porządek. Śmiano się z niego nawet, że, jak u młodej panienki, wytwornie było i kwiecisto w jego mieszkaniu. Burzymowski pochodził, pomruczał i powrócił na miejsce swoje.

Grabski niespokojny, słowa nie mogąc wyrzec, gospodarował na swém łóżku i koło siebie.

— Widzisz, — odezwał się stary, — nawet mi nie powiedziałeś: Bóg zapłać!

Micio się nieco zarumienił.

— Kochany szambelan wiesz i bez tego jak ja mu wdzięczny jestem.

— Powinieneś jéj być wdzięcznym, — rzekł ojciec. — Toć to, panie, dziś jest gwiazda Warszawy! ulubione dziecko całego wielkiego świata! Wszyscy przed nią na kolanach! A ona, owa monarchini czyni ci ten honor...

Zarumieniony Grabski dodał cicho:

— I bardzo wielką przyjemność!

Zaturkotało w ulicy, troskliwy ojciec pobiegł do okna, poznał powóz i wyszedł spiesznie naprzeciw swéj jedynaczki, aby jéj służyć za przewodnika.

Grabski z oczyma we drzwi wlepionemi, na przemiany blady i zarumieniony, czekał nkazania się Sylwii. Nie przypuszczał on wcale, aby się domyślać mogła pojedyńku przyczyny.

Nie widzieli się już od dosyć dawnego czasu, upływ krwi, cierpienie zmizerowały i zmieniły bardzo Mieczysława, Sylwia téż od owego wieczora na kasynie nosiła na twarzy piętno głębokiej boleści.

Spojrzawszy na siebie oboje doznali przykrego wrażenia. Sylwii uderzyło serce, wyciągnęła ręce zbliżając się do łóżka zarumieniona i z uczuciem wpańrując się w chorego, rzekła.

— Dawno powinnam była spełnić ten obowiązek, daruj mi!

Grabski usiłował okazać się wesołym, próbował uśmiechać; ale badawcze wejrzenie Sylwii męszało go.

Czeżewska po przywitaniu usiadła zdala, z podziwieniem przypatrując się pięknym kwiatkom na oknie.

Szambelan, który też przy chorym nie do czynienia nie miał, począł honory kawalerskiego apartamentu robić ciekawej Wojskiej, i pociągnął ją z sobą.

Sylwia na chwilę została sama przy łóżku Grabskiego i natychmiast, korzystając z tego, pochyliła się ku niemu z zapytaniem.

— Na pamięć twój matki, na cienie jej cię zaklinam, mów mi prawdę! Jaki był powód tego pojedynku?

Wejrzenie które na niego rzuciła, przeraziło go, zbladł i nie potrafił zebrać myśli.

— Ani prawdy ani fałszu ci nie mogę powiedzieć, nawet na takie zakłęcie, — odparł po krótkim namyśle, — dałem słowo, że zachowam tajemnicę.

— Która dla nikogo w mieście już nią nie jest! — prędko odpowiedziała Sylwia. — Może część tylko prawdy zakrytą jest przedemną i przed ojcem, ale ja się jej domyślam!

Wyciągnęła rękę, którą Mieczysław ucałował i podnosząc głowę rzekł.

— Nie wiem, dlaczego cię ta tajemnica obchodzić miała?

Po namyśle krótkim, Sylwia na siebie wskazując, odezwała się głosem spokojnym, w którym jednak jakby jęk stłumiony słyhać było.

— Bo ta tajemnica tyczy się — mnie!

Grabski rzucił się gwałtownie, przestraszony.

— Któż ci coś podobnego śmiał powiedzieć?

— Mnie? nikt, — poczęła Sylwia tym samym głosem dziwnym. — Ojcu mojemu powiedziano wczora, żeś się pojedynekował za honor kobiety, którą wskazywano publicznie jako kochankę księcia Józefa.

— Więc cóż to ma za związek z tobą? — zapytał słabym głosem Grabski.

Sylwia obejrzała się, jak daleko był ojciec i Czeżewska, która w sąsiednim saloniku sztychy angielskie właśnie szambelanowi starała się tłómaczyć.

— Wiem, że życzliwi ludzie na mnie coś podobnego mówią! — odezwała się szambelanówna.

Rumieniec oblał jęj twarz, lecz zebrawszy się na męstwo ciągnęła dalej.

— Widzisz, że ja nawet miłości księcia Józefa ani się wstydzę ani zapieram! Jest to szlachetny charakter i piękna dusza, w której zakochać się można! Nie potrzebuję się sromać, bo

ani on ani ja nie sobie do wyrzucenia nie mamy. Przyszedł ci podziękować, żeś szlachetnie stanął w obronie mojej, żeś we mnie wierzył. Dziękuję ci!

Mogę śmiało ci spojrzeć w oczy!

Uśmiechnęła się smutnie.

— Widzisz, — dodała, — jak z tobą jestem po bratersku otwartą i szczerą. Tak, Miciu, kocham tego bohatera, on mnie kocha, ale to miłość jest czysta, smutna, święta, bez nadziei!

Pożaluj mnie, wstydić się mnie nie będziesz...

Mówiła to gorączkowo, ze łzami w oczach, a choć do jej odwagi i charakteru nawykły był Micio, wystąpienie to jawne, przyznanie się do uczucia, o którym chciał wątpić, zabolalo go mocno.

Spojrzał na nią z politowaniem i współczuciem. Ona też patrzyła mu w oczy szukając wrażenia jakie uczyniła.

Grabski ręką cisnął piersi, bo mu się zdało, że serce pęknie z boleści.

— Sylwio moja, — rzekł, — dziękuję ci za zaufanie... Cóż mam powiedzieć ci więcej? Życzę ci szczęścia a nie widzę go... Panniętaj na ojca i siebie!

— Bóg da, że biedne moje ojczyisko nie wie dzieć nie będzie o tém, co córkę wpędzi do grobu. Ty, Miciu, synem mu bądź! — odezwała się cicho.

— Zwyciężyć się potrzeba, — dodał pospiesznie Mieczysław obawiając powrotu szambelana, zaklinam cię, panuj nad sobą. Wracaj na wieś!

Nim szambelanówna mogła mu odpowiedzieć na to, posłyszeli kroki i głos Burzymowskiego, Sylwia zamilkła. Mieczysław zaczął mówić o czémś obojętném.

Na twarzy jęj jednak takie widać było jeszcze rozgorączkowanie i zmianę wielką, że nawet szambelan zbliżywszy się, dostrzegł ją.

— A mówiłem! — zawołał szybko, poruszony podchodząc do Sylwii. — Ta wizyta na nic się zdała! Cała jesteś poruszona tym widokiem... Dla kobiet lazarety nie są stworzone!

— Mylisz się, kochany ojcze, nie mi nie jest! podchwyciła Sylwia. — Owszem, jestem bardzo rada, że Mieczysława widzieć mogłam, żem go może trochę rozerwała. Wszakżeśmy my dobrzy, starzy przyjaciele od dzieciństwa.

Dobrzeby tatko nawet zrobił, żeby nam rozmowy nie przerywał, bo mamy jeszcze wiele sekretów do powiedzenia sobie.

— Co? sekretów? — zapytał Burzymowski. — Wy? sekretów?

— Ale tak! sekretów! — uśmiechając się przymuszenie dodała Sylwia. — Cóż tatko wiedzieć może? A nuż ja przynoszę tu jakie czułe poselstwo od jakiejś pięknej pani, która sama chorego odwiedzić nie może?

Burzymowski, nawykły do posłuszeństwa córce, ramionami poruszył zdziwiony.

— Co znowu! — mruknął.

— Jak jest to jest, mój tatku, daj mi jeszcze z Miciem pomówić na osobności, — dodała Sylwia.

Naleganie to niespodziewane wprawilo w wielkie zdumienie Burzymowskiego, lecz opierać się nie był zwykły córce, i choć nic nie rozumiał, cofać się zaczął.

Czeżewska trzymająca się trochę zdala, potrząsała głową.

Gdy się oboje oddalili znowu, obejrzawszy się ku nim Sylwia pochyliła się do zamysłonego kuzyna.

— Tyś rozumniejszy odemnie, — odezwała się cicho, — życzysz mi dobrze, kochasz mnie jak siostrę.

Grabski podniósł oczy protestując.

— Wiesz że cię nie jak siostrę kocham!

— To źle! bo ja cię tylko jak najdroższego z braci kochać mogę, — mówiła szambelanówna. Psujesz mi tém wszystko, tracę odwagę.

— Mów, ja ją mieć będę za nas dwoje, — wtrącił Grabski.

— Coż ci mam mówić! O mnie nie idzie mi; o ojca tylko.. Śmiało ci w oczy spojrzeć mogę, — dodała rumieniąc się, ale ludzie są źli, ale potwarz jest zabójczą...

Ojciec mój! o Boże!

— Należy zerwać wszystko, jechać ztąd! — powtórzył Grabski. — Przecierpisz, przebolejesz... wszystko w świecie się zapomina.

— Tylko nie pierwsza, jasna miłość, — śmiało przerwała Sylwia, — gdy była takim snem ślicznym, a bohaterem jój człowiek co jest bohaterem... Ja jedna znam jego duszę i rycerski charakter... Ludzie sądzą z tego co on im ukazuje, aby ukrył się przed nimi!

Grabski słuchał z oczyma spuszczone, przybity, dysząc od wzruszenia.

— Wierzę, — rzekł, — nie mów więcej! Na potwarze jest jedno lekarstwo... gorzkiem ono być może dla ciebie... ale gdy się stanie koniecznym, Sylwio, masz — mnie.

Pomimo przytomności szambelana Sylwia krzyknęła. Cześewska i on zwrócili na nich oczy.

— Proszę nas nie podsłuchiwać i nie przerywać! — wtrąciła nakazująco Sylwia, — rozmowa nie skończona.

To mówiąc pochyliła się znowu do chorego.

— Miciu! — zawołała, — tyś także szlachetny! tyś bohatersko poświęcający się. Ale sądziszże iżbym nie mogąc ci dać serca taką przyjęła ofiarę? Ja?!

— O przeszłości zapomniałbym, — rzekł Grabski, — a nie żądałbym nic więcej nad to, abyś mi sobie służyć i pocieszać się dozwoliła... Przyszłość...

— Jaka przyszłość? — przerwała Sylwia, — bez serca, ze wspomnieniami takimi! O! ty nadto dobrym jesteś!

Grabski się uśmiechnął tylko.

— Chociaż dziś, — rzekł — odrzucasz moją ofiarę, pamiętaj o niej, ja jęj nigdy i w żadnym razie nie cofnę. Będiesz może zmuszoną zamknąć usta ludziom, uspokoić ojca, szukać kogoś coby ci życzliwą, braterską podał rękę, nie wymagając nic... oprócz przyjaźni... Pamiętaj że mnie masz, którego życie do ciebie należy...

Cicho dokończył ostatka, w milczeniu popatrzyła nań zdumiona i rozrzuwniona Sylwia, nie dowierzając prawie temu co słyszała. Wyciągnęła obie ręce ku niemu w milczeniu wymowném i odezwała się cicho.

— Nie! mój Miciu, ciebie jeszcze czekać powinno szczęście boś ty na nie zasłużył, a ze zwiędłego serca mojego cóżbyś miał! O! byłabym bezecną egoistką przyjmując ofiarę.

— Byłabyś moim aniołem wybawcą! — dokończył Grabski. — Pamiętaj Sylwio — dziś, jutro, za lat dziesięć, póki żyć będę, jam twój!

Łza się szambelanównie zakreśliła w oku.

— Co oni, proszę asindźki, mogą tam z sobą szeptać i mruczeć, — mówił szambelan do Wojskiej. — Patrzaj tylko jak ona się nachyla, ręce mu podaje, jaka ożywiona rozmowa! Dalipan to prze-

chodzi moje pojęcie! Może istotnie Sylwii która z tych jejmościanek, ta za którą się bił—czy co? poleciała co powiedzieć? Słowo daję! nie rozumiem! Jak się też asindzce zdaje?

— Ja także tego zupełnie nie rozumiem, — zaciskając i sznurując usta — odezwiała się Czeżewska. — Naszej panny Sylwii nikt na świecie nie odgadnie!

— Już co to, to prawda!—rozśmiał się szambelan. — Ale bo, spojrz proszę na nich, tak coś żywo rozprawiają, jakby o losy świata chodziło! Niechby tam sobie było co chciało, — dodał, — ażeby tylko mojej Sylfidzie to wzruszenie nie zaszkodziło!

— Ja sądzę że i dla pana Grabskiego zbytne poruszenie dobrém nie jest,—dodała Czeżewska.—Niech pan swoją powagą wejdzie w to i położy koniec szeptom!

— Powagą! — syknął Burzymowski. — Asindzka jak na młta wszystko składasz na tę moją powagę, albo jak na żydowskiego konia, z pozwoleniem! Ale! Powaga! Była ona kiedyś, ani słowa! póki panna nie podrosła i głową mnie nie przerosła, teraz ja jej najniższy sluga. Lepiej asindzka zagadaj i przerwij.

-- Mnie nie wypada!

— A ja nie mogę, w żaden sposób — rzekł Burzymowski. — Sylwia mnie nie posłucha i resztę tej powagi djabli wezmą.

Z daleka tedy przypatrywali się tej zagadkowej dla nich a tak ożywionej rozmowie. Szambelan tylko kiedy niekiedy chrząkał, jakby o sobie znać dawał; Czeżewska wzdychała głośno, wszystko to nie pomagało.

Pół godziny może, piękna panna przesiedziała tak u łóża chorego, na ostatek jeszcze raz podała mu rękę i wstała wysilając się jeżeli nie na wesołość to na jakąś odwagę sztuczną.

Grabski sparty na rękę, leżał jak przybity — widać było na nim wrażenie które litość obudzało.

— E! ona mu tam, widać, nie dobrego nie przyniosła — rzekł Burzymowski w duchu, — strasznie nosa spuścił na kwintę.

Widząc że już nawoływanie na ustęp się skończyło, a Sylwia wstała, szambelan odetchnął i poweselał.

— No, teraz, — rzekł, — nie pozostaje nam nie jak tylko szanownego gospodarza pożegnać, życzyć mu rychłego powrotu do zdrowia, i zalecić spoczynek który doktorowie nakazali. Lękam się właśnie abyśmy go nie naruszyli naszą wizytą.

— Ja bo jestem Nielitościwa — odezwiała się Sylwia — zepsuta egoistka! Zapomniałam że to Miciowi szkodzić może i pełnam mu głowę nabiła różnych nedorzecznosci, aby tylko paplać!

Przez grzeczność Grabski protestował, chociaż w istocie czuł się mocno zburzonym i rozgorączkowanym.

— A!—rzekł z wesołością nadrobioną— takie drogie odwiedziny jak wasze, choćby odechorować za nie przyszło, człowiek nie będzie żałował!

Czeżewska zbliżyła się z radą jakąś lekarską, aby także wtrącić słówko i nie pozostać wiecznie milczącym *Chaperonem*. Szambelan pożartował jeszcze, aż Sylwia której twarz, wypieczone rumieńce krasily, pożegnała chorego, dając znak do odejścia.

Sam pozostawszy Grabski nieporuszony przetrwał długo oparty na łokciu, pod wrażeniem rozmowy, której każdy wyraz jeszcze w uszach mu dzwigał.

Ta Sylwia, którą przed chwilą widział rozgorączkowaną, z rozpaczoną, z taką ufnością i otwartością spowiadającą mu się ze swych cierpień i uczuć, nagle z dziewczeczki naiwnej zmienioną w jakąś bohaterkę romansu—zdawało mu się nie prawdopodobną istotą. Porównywał ją z tą którą znał w dzieciństwie i przyznać w końcu musiał przed sobą, że pomimo zaszłej zmiany, w samowolném dziewczęciu dawném, była już dzisiejsza romansowa Sylwia. Powolność ojca, płochość dziwaczna Czeżewskiej, aż nadto tłumaczyły to rozwinięcie się charakteru, na który wpłynęły także ówczesne romanse francuzkie i obyczaje społeczeństwa.

Było coś poetycznego w niej, Grabski tłumaczył ją i uniewinniał przed sobą, ale sąd świata

nielitościwego, cieszącego się każdym upadkiem i słabością mógł że wypaść równie łagodnie i miłosiernie ??

Straszne myśli przychodziły choremu; widział dom opustoszony, starca zbyt powolnego i dobrego złamanego boleścią—siebie—bez przyszłości, skazanego na bezsilne ratowanie tych, których ocalić nie mógł.

Rana, która go czyniła bezwładnym, dolegała teraz podwójnie, gdyż, byłby przemagając swój wstręt wcisnął się w towarzystwo, które mu Sylwię odebrało i znalazł może jaki środek ratunku.

Wzruszenie jakiego doznał, ból serdeczny, rozdrażnienie, stan jego pogorszyć musiały tak, że wieczorem przybywający lekarz, z przestрахem znalazł go prawie w niebezpieczeństwie.

Gorączka wzmożła się straszliwie, przytomność stracił wkrótce, a wyrazy które mu się majaczącemu z ust wyrzywały, świadczyły o rozpaczliwym stanie ducha.

Całą u c lekarz z przybranym felczerem musiał spędzić u łóża chorego i nad ranem udało się ledwie sztucznymi środkami sen i uspokojenie sprowadzić. Gdy około dziesiątej nazajutrz Zybek przybył w imieniu Sylwii i ojca jej dowiedzieć się o stanie chorego, doktor oświadczył bez ogródki, że wczorajsze odwiedziiny i wzruszenie tak dalece pogorszyły stan Grabskiego, iż na

przyszłość wszystkich podobnych stanowczo zakazać musi.

Zybek z tą wiadomością powrócił wprost do panny, która go wysłała.

Słuchając Sylwia załamała ręce. Po tym którego ukochała, Grabski był jej najdroższym. — Czuła dlań obowiązek wdzięczności, a spełnić go ani umiała ani mogła. Nastręczył się ojciec, któremu Sylwia dała szczegółową instrukcję jak się miał znaleźć i wyprawiła go do Mieczysława.

Szambelan, który też kochał pocziwego kuzynka, poszedł posłuszny i został przy nim na straży.

Okolo południa Grabski był już lepiej, mógł więc stary powrócić z tą pocieszającą nowiną do córki. Ale Sylwii już nie zastał.

Dnia tego towarzystwo korzystając z resztek śniegu i sannęj wyprawiało kulię do Młocin.

Sylwia była zaproszona.

Bolało jej serce, ale książę miał tego dnia jednemi sankami powozić — chciała, dopoki mogła widzieć go przynajmniej, rzucić wejrzenie i zyskać je od niego.

Wśród téj zabawy, która dla francuzów miała urok nowości, baron de Beaumont zjawił się u boku Sylwii natrętniej nadskakując niż kiedy, śmielszy, zmieniony w obejściu się z nią, jak gdyby mu ktoś uczynił nadzieję że dotąd nie czuła

na wejrzenia i westchnienia piękność, będzie łaskawszą dla niego.

W jego postępowaniu było coś tak dziwnie natarczywie narzucającego się, że szambelanówna oburzona, nie taila gniewu i złego humoru.

W czasie podwieczorku książę zbliżył się do niej, tak że mogli kilka słów zamienić nie podsluchiwani.

— Może mi książę potrafisz wytłumaczyć, co znaczy ta odmłodzona galanterja Barona! Nie nazywam tego inném imieniem abym go nie profanowała. Baron zdawał się już mieć tyle rozsądku że mnie przestał nudzić swemi grzecznościami — cóż mu się znowu dziś stało? *Quelle mouche l'a piquée?*

— Nie wiem, tą muchą chyba mogłaby być majorowa, której, pomimo wszystkich jéj usług, nie cierpię — rzekł książę. — Ale cóż to pięknej Sylwii szkodzi gdy ma więcej adoratorów?

— Wszyscy oni są mi nieznomi, a ja wolę żadnego nie mieć! — odezwała się Sylwia. — Miałaby majorowa — czego nie przypuszczam, zrobić mu jaką niedorzeczną nadzieję?

Szambelanówna spojrzała na księcia, jak gdyby jego posądzała, ale Pepi ruszył ramionami i uśmiechnął się obojętnie, widąc nie poczuwając do grzechu.

— Jeśli piękna Sylwia mnie o taką zbrodnię posądza — to się bardzo myli — rzekł krótko.

— I nie domyślasz się książę kto mnie zaszczycić mógł swą opieką i narzucić niezdolnego francuza? — zapytała Sylwia.

— Mówilem już, posądzam tylko zawsze nadto domyślną i zbyt uslužną majorowę, — odparł książę. — O innych przypuszczeniach mówić nie chcę, bo mogłyby być fałszywe.

— Mniejsza już o sprawcę tego figla niesmacznego — zawołała szambelanówna. — Książę mógł byś mi tę łaskę uczynić i uwolnić mnie od Barona... Wiem że się narazić księciu nie zechcę...

— Tak, ale moja interwencja—dodał książę, —byłaby niepotrzebnie kompromitującą.

— A! zdaje mi się—szepnęła Sylwia smutnie —że ja już dostatecznie jestem skompromitowaną!

Ktoś nadchodzący przerwał tę rozmowę, a Beaumont jak rozpoczął dnia tego, *une cour assidue*, tak niezrażony niczem, dotrwał w swych obowiązkach aż do powrotu z kuligiem pod Blachę.

Tu Sylwia uciekła się pod opiekę pani de Vauban i potrafiła się takim opasać łańcuchem iż Baron, nie mogąc do niej dostąpić, musiał się ograniczyć wzdychaniem zdala na uboczu.

Pan Baron de Beaumont, kawaler Ś. Ludwika, mówiący często i wiele o swych aljansach z pierwszemi rodzinami dawniej Francyi, niegdyś wojskowy—był jednym z tych *cadet de famille*, którzy oprócz pięknego imienia i praktycznego wychowania w salonach, nie nigdy więcej nie mieli.

Rewolucja pozbawiła go rozpoczętej kariery, ale więcęć mu nie nad nią nie odebrała.

W znaczeniu nawet urósł jako emigrant, a ci panowie coby za dawnych czasów, u dworu Ludwika XVI., ani nań spojrzeć nie chcieli, teraz się z nim obchodzili poufale, jako z męczennikiem wspólnych zasad i przekonań jednych wyznawcą.

Uśmiechało mu się wyzyskanie tego położenia przez bogate ożenienie. Słyszał on że córka pana szambelana miała po ojcu znaczny odziedziczyć majątek, znajdował ją w najlepszem towarzystwie, uroczą piękną, wychowaną starannie, czegoż mógł więcęć pragnąć dla siebie?

Wprawdzie, chociaż żadne szczegóły uszu jego nie doszły, słyszał coś o tém i widział sam że Sylwia bardzo się księciu podobała, mówiono, że książę był w niej zakochany, że ona — nie była dlań obojętną — to wszystko nie stanowiło przeszkody, nie zrażało go wcale, prędziej by jeszcze pociągnąć mogło.

Nie były we Francyi bezprzykładne małżeństwa z rachuby i dla protekcyi, a synowiec króla w oczach Barona, miał niemal prawa książąt krwi, którym i dozwalano i przebaczano wiele.

Baron w początkach nieśmiało zabiegał około pięknej panny, dając jej poznać tylko że gotów jest podać rękę do ołtarza... Zdawało mu się że położenie szambelanówniej mogło ją uczynić

powolną, że książę mógłby mu pomagać. — Rachuby omyliły, — Sylwia ani chciała nań patrzeć, Baron powiedział sobie że panna musi mieć wielkie nadzieje i ufność w przyszłość, gdy się nie spieszy wychodzić za męż.

To w oczach jego wartość skarbu podniosło.

Nie nabijał się już zbyt natrętnie — czatował tylko.

Tymczasem pocieszał się i zabawiał łatwiejszemi, przyjemnemi i nie bez korzyści stosunkami z paniami dojrzałych lat, które wszystkich francuzów z wielką dystynkcyą i sympatją przyjmowały. — Znana powszechnie rozwódka i wdowa starościna ...ska, wielce była Baronowi przyjazną, i zazdrosną o niego. Na nieszczęście miała tylko dożywocie i lat co najmniej czterdzieści. Przyjaźń więc i dobre obiady w bliższe stosunki zmienić się nie mogły.

Baron de Beaumont, jak wielu innych znał panią majorową, jej był winien nawet przyjaźni swój starościnej; bywał u tej protektorki i miał u niej dosyć łaski.

Zapraszała go czasem na podwieczorki, znajdując dosyć zabawnym.

Beaumont gdy był w atmosferze właściwej, stawał się bardzo wesół, prawił kalambury i opowiadał anegdotki trochę drażliwe, które wielu osobom, mniej zważającym na *decorum*, wielce się podobały.

Smiali się czasem godzinami całemi z majorową, do której francuz robił słodkie oczy, i klapsy od niej dostawał, gdy się zbyt — natarczywym okazał.

Jednego z ostatnich wieczorów, Baron, który podobno, zawiedziony w rachubie na swą starość, potrzebował pilno sukursu i spodziewał się że mu go protektorka wyjedna, udał się do majorowej.

Składki na emigrantów płynęły znaczne bardzo. Rozdzielala je, między innemi, i pani de Vauban, łatwo się więc było do źródła docisnąć, ale nie płynęło ono z równą dla wszystkich szcudroblivością.

Habąkowska podejmowała się wstydliwym uzyskiwać i zręcznie wsuwać sukursa, gdy ich potrzebowali.

Baron szedł do niej jak w dym.

— Kochana pani, — rzekl po przywitaniu. — Wstyd mi wyznać, *la starostine* nie ma ani grosza *et je suis à sec!*

Majorowa usłyszawszy wyznanie, poruszyła głową i ramionami, skrzywiła usta.,

— Starościna, *c'est un pis aller et un interim*, — odezwała się, — trzeba coś bardziej serio obmyśleć, panowie nie umiecie korzystać ze swego szczęśliwego położenia. Tyle pięknych i bogatych pauien jest na wydaniu, któreby chętnie na ty-

tnął się zlakomiły, gdy go nosi młody i piękny mężczyzna.

Ale wy, wolicie się umizgać do starszych bab, spędzając czas na karmieniu się u nich konfiturami, które nie dają nic oprócz nudności. Baby i konfitury! — dodała śmiejąc się. — Żaden z was seryo nie myśli o jutrze... Emigracya może potrwać długo.

— A! mój Boże! — odparł baron z żywością wielką — ja, gotów jestem! ale nie idzie mi jakoś!

— A gdzieś pan chciał, aby mu poszło? — zawołała majorowa.

— Próbowałem się zalecać pięknej szambelanównie.

Majorowa spuściła oczy i głowę poczęła z ramienia na ramię kołysać.

— *A! vous n'etes pas dégouté!* — rzekła. — *C'est un joli brin de fille!* I ojciec dobry jak ciasto, a majątek weale duży.

Nie dokończywszy popatrzyła z uwagą na francuza; baron zrozumiał ten wzrok.

— O! ja wiem wszystko, — rzekł.

— Wszystko? — rozśmiała się szydersko Ilabąkowska, — a więc z łaski swój powiedz mi choć połowę tego co wiesz?

— No, księciu się podobala! — rzekł baron.

Gospodyni znowu wlepila w niego oczy, chcąc wyrozumieć, jakie to — upodobanie księciu, miało znaczenie u francuza.

Po długim przestanku odezwała się — dosyć śmiało.

— *Avez Vous des préjugés?* (Masz pan przesady?)

— Ja! najmniejszego! — zaśmiał się Beaumont.

— O księciu, ja tam tak dalece nie wiem nic... — rzekła pocichu. — Ale, któż wie, myśl starania się o szambelanównę mogłaby być niezłą. Z czasem, kto wie, dałoby się to może doprowadzić do skutku... tylko — pannie się trzeba podobać, a ona — *elle est difficile!*

— Podobać się? — podchwycił de Beaumont. Jakież sposob na to?

Majorowa dźwignęła ramionami.

— Ty! francuz! Mistrz w galanteryi, pytasz mnie, jak się masz podobać kobiecie! A! to — doskonale... Żartujesz chyba!

— Nie, moja śliczna pani! — odezwał się baron, — nie, bo jest trzydzieści sześć sposobów podobania się płci waszój, jak to pani wiadomo. Są kobiety, które się biorą szturmem, inne potrzeba oblegać wedle wszelkich reguł strategicznych, inne jeszcze zyskuje się pokorą i służebnictwem. Pani jedna, znając bliżej szambelanównę powiedzieć mi możesz, jakimby sposobem mógł pozyskać piękną Sylwję?

— Zadałeś mi pan pytanie, na które ja, do prawdy, odpowiedzieć nie potrafię, — odezwała

się majorowa po namyśle. — Jedną tylko (w wielkim sekrecie) służyć mu mogę informacją, że pora do zdobycia szambelanównę, jeśli się nie mylę, jest — nader przyjaźną.

Baron trochę się namarszczył, niedobrze zrozumiawszy, a majorowa śmiać się poczęła.

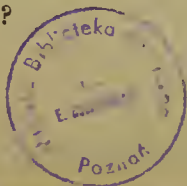
— Więcej powiedzieć nie mogę, — dodała szydersko. — Mówię panu, że pora jest przyjaźną, bo znam bliżej okoliczności. Książę jest bałamut, panna samowolna, dumna, dziwaczna... O! potrzebujesz pan wiele cierpliwości i pokory! *Fin finale!!* mogłoby się udać! Byłaby to partya co się nazywa świetna!

Czy majorowa udzieliła jakich poufniejszych wskazówek baronowi, nie wiemy, lecz długo jeszcze rozmawiali o tym przedmiocie.

Niezmiernie czynua Habąkowska zaraz naza-jutrz rano poleciała do księcia, któremu się zalecić chciała właśnie dlatego, że jęj nie lubił.

Już sam widok majorowej humor mu psuł, zwłaszcza gdy się mięszała w jego stosunek z Sylwią. Odważna kobiecina, nie dawała się zrazić niczém.

— Mości książę, — odezwiała się obcesowo wpadając do gabinetu, w którym sobie audyencyę wyjednała. — Dwa słowa tylko. Niech się książę nie zapiera przedemną, masz już tój platonicznej miłości dla pięknej szambelanównę — dosyć i aż nadto?



— A! gdybyś ty się mi tylko w moje sprawy serdeczne nie mieszała! — westchnął książę.

— Ale ja, jeśli się mieszam, to nie żeby psuć, ale żeby cudze omyłki naprawiać.

Cały ten romans do niczego oprócz kwasów i rekryminacyj nie prowadzi. Panna naiwna narzuca się, książę jesteś tak sumienny...

— Bo ją kocham!

Majorowa zżymnęła się.

— Trzeba temu jakiś koniec zrobić, — rzekła. — Wydać ją za męż.

— A! zapewne! — odparł książę.

— Widzisz W. ks. Mość, że ja jestem *de bon conseil!*

— Ale między radą i wykonaniem, *entre la coupe et les levres*, — szepnął książę.

— Potrzeba choć spróbować jakiś epilog stworzyć do tego dramatu czy poematu, — uśmiechając się mówiła Habakowska. — Mam konkurenta, *qui est très presentable, a il est de si bonne composition!*

Książę się zarumienił i przerwał.

— Mówilem, że szanuję ją, — wtrącił.

— A! i ja także! — dodała piękna Jutka.

Na chwilkę zamilkła, książę się przechadzał zniecierpliwiony.

— Mam księciu przedstawić konkurenta? — spytała majorowa.

— Ja się do téj sprawy mieszać, a nawet

wiedziećbym o niej nie rad... — odpowiedział sucho.

— Baron de Beanmont! — szepnęła Habąkowska.

Nie było odpowiedzi.

— Już jeżeli go książę protegować nie chcesz, to przynajmniej może raczysz mi powiedzieć, czy nie będziesz przeszkadzał?

— Jestem i pozostanę w tej sprawie zupełnie neutralnym! — dodał z przyciskiem książę. — Nie mieszaj mnie do niej.

— Niewdzięczny! — szepnęła półgłosem majorowa.

Uklonił się jej książę i chciał odchodzić.

— Mam więc choć milczącą aprobatę? — spytała Jutka.

Odwrocił się już od progu książę Józef ze smutną twarzą.

— Kochana majorowo! — rzekł szydersko, — wszędzie i we wszystkiém oceniam twe talenta i pomoc skuteczną, — tylko, proszę cię w tej jednej sprawie! nie czyn nic, a jeśli już się powstrzymać nie możesz od ruchu, nie mów mi przynajmniej o nim. *Adieu*.

Wyszedł. Skrzywiła się Habąkowska, lecz wcale ją to nie wstrzymało od narady w tym samym przedmiocie z panią de Vauban, i obie postanowiły, księcia z tych więzów platonicznych oswobodzić.

Zdaje się iż obie były tego zdania, że plato-
niczne są najniebezpieczniejsze.

Powróciwszy z pod Blachy, majorowa znalazła czekającego na nią barona, umiała go natężyć nadzieją dobrą, zaleciła starać się uparcie i wytrwale.

— Zrozumiej mię pan dobrze, — mówiła mu. W pierwszej chwili będziesz pan może traktowany, *comme un chien dans un jeu des quilles* (jak pies w kregłach), nie trzeba się tém zrażać! Pokory i rezygnacyi zapas zrobić musisz! Gdyby nawet powiedziała panu coś wyraźnie nieprzyjemnego, możesz udawać że jej nie rozumiesz. Słowem, dużo cierpliwości, uporu, wytrwania! Kochać się pan nie potrzebujesz! myślę, że to nawet zaszkodziłoby mogło... natomiast wiele łagodności baranka, akomodowania się niewolniczego, pokory zalecam...

Allez, — dodała z powagą przybraną, — *et que Dieu Vous benisse!* (Idź! niech cię pan Bóg błogosławi!)

Pobłogosławiony baron poszedł, jak widzieliśmy, i — został w istocie nie najlepiej przyjęty, ale cały plan kampanii tak mu się uśmiechał, a taką miał wiarę w nieomylność majorowej, iż pozostał wytrwale na stanowisku.

Następnych dni Sylwia spotykała go wszędzie, udawała że nie widzi, gdy mówił, zdawała się nie słyszeć, nie poznawała go w końcu — ale

to nie nie pomagało, znajdowała go przy sobie na każdym kroku.

Jednego wieczora tak się stał pokornie natrętnym i nieznośnie słodkim, iż szambelanówna postanowiła, otwarcie się z nim rozmówić i — dać mu odprawę.

Wstała od stolika pod pozorem gorąca, aby się przejść po salonie.

Beaumont natychmiast się znalazł przy niej. Gdy tylko mógł przystąpić, spytał czy jój w czém służyć nie może, czy nie mógłby szala jój odnieść, wody przynieść?..

Dodał uśmiechając się, iż mu się zdaje, że gdyby gwiazdki z nieba zażądała i tego komisu by się podjął, tak pewnym jest, iż uczucie admiracyi i weneracyi jakie ma dla niej, pomogłoby mu do dokazania cudu.

— A! gdyby cud ten mógł się stać, żebyś mnie pan baron nudzić przestał! — odezwała się niegrzecznie Sylwia.

— Pani jesteś nielitościwa! — westchnął francuz.

— Pan jesteś niemiłosierny! — odparła. — Powiedz mi, czego możesz żądać odemnie?

— Trochę życzliwości! Pozwolenia, abym był tylko jój sługą i niewolnikiem (*esclave*).

— A! panie baronie, — szydersko zawołała Sylwia, — nie ma na świecie cięższej służby jak u mnie.

— A jednak, ja przyjmuję wszelkie warunki, byłem do niej został przyjęty!

— Służba u mnie,— ciągnęła dalej Sylwia,— bez żadnej zapłaty innej, oprócz złych humorów, niegrzecznych słów — goryczy! Utrapienie ciężka.

— Oplaci się szczęściem patrzenia na nią!

Szambelanówna zżymnęła się z niecierpliwości.

— Pan jesteś tak dziwnie zrezygnowanym,— rzekła, — jak gdybyś chciał tylko zdobyć stanowisko, na którym rezygnacya mogłaby się w tyranią odmienić!

— Nigdy! — zawołał baron. — Przecież niczem nie chcę być tylko sługą, a sługom się dają kontrakty...

Wejrzeniem pogardliwém od stóp do głów zmierzyła go Sylwia.

— Jakże żałuję, — odezwała się, — że wszystkie miejsca w méj służbie zajęte, i z tak doskonałego kandydata korzystać nie będę mogła.

— Czyż wszystkie? — zapytał uparty baron. I ani kącika dla mnie? Jabym się nadzwyczaj skromném kontentował.

— Ale! dajże mi pan pokój! — zakończyła do ostatniej doprowadzona niecierpliwości szambelanówna.

Baron się skłonił.

— Tak jestem pewnym, iż bliżej poznając mnie oceniałabyś pani, jakiego miałabyś sługę,

iż — gotów jestem na wakans czekać, czekać i czekać bez końca!

Pomimo grzeczności baron się pomścił trochę. Zdała pokazał się książę Józef.

— Naprzykład, — rzekł z uśmiechem, — jestże drugi taki sługa, coby chętnie, nie wzywany nawet, uczuł, kiedy mu ustąpić wypada?

To mówiąc skłonił się nisko i Sylwię zostawiwszy samą, odszedł do salonu.

Szambelanówna nie wiedziała, czy ma się śmiać czy gniewać. Ruszyła ramionami pogardliwie i powtórzyła księciu całą rozmowę.

Książę zachmurzył się mocno, był gniewny widocznie, mruknął tylko.

— Impertynent!

I zagadał o czém inném.

Z wypieczonym na twarzy rumieńcem Sylwia wróciła do salonu.

III.

W parę dni potém, rano, szambelan Burzymowski, znajdujący się na dole z Zybkiem w swoich dwóch brudnych izdebkach, spędzał na nim swój zły humor. Chodził niespokojny, mrucząc, ruszając ramionami, postukując nogami, to stając naprzeciw okien zamyślony, to trąc czuprynę konwulsyjnie i dając wszelkie oznaki wewnętrznego zburzenia, jakiego w nim nikt od dawna nie widywał.

Na wsi mu się takie nadążanie częścięj trafiało, tam potrzebował czasem być groźnym aby swą powagę utrzymać w obec oficyalistów. W Warszawie prawie statecznie wesoł chodził, i przyjemnie uśmiechnięty, dla przypodobania się ludziom, z któremi chciał być w zgodzie.

Zybek wylajany raz za buty, które stały nie oczyszczone, potem za porzuconą w drugim pokoju szczotkę, dalej za nie wylaną miednicę, za stare i nowe grzechy, wyszedł nareszcie na swój zwykły punkt obserwacyjny, we drzwi kamienicy, i mówił sam do siebie.

— Co mu się stało? To nie darmo! Ktoś mu za skórę zalać musiał. A tom go już dawno, przedawno takim nie widział. Sierdzi się na mnie, jakby było o co? Wczoraj toż samo widział nie mówił słowa, a dziś jak pojechał! Tylko że nie oberwałem. Co mu to jest? Kto inny coś zmalował, a na Zybku się krupi, ale z nim zawsze tak!

W téj chwili przechodzący kondukt pogrzebowy, przyniósł wielce pożądaną dystrakcją Zybkwowi i czarne jego myśli rozproszył. Długimi szeregami postępujące zakony, uciśnione chorągwie rozliczne, krzyże błyszczące, rozmaite mnichów ubiory, wspaniały karawan, muzyka — wszystko to razem tak silnie podziało na Zybka, że o gderaniu starego pana zupełnie zapomniał.

Szambelan tymczasem sam pozostawszy, latał po swych dwóch izdebkach, nie mogąc jeszcze przyjść do siebie.

Parę razy próbował usiąść w krześle i uspokoić się mechanicznem kładzeniem pasjansu, ale — niepodobieństwem mu było zebrać myśli, nawet do takiej kabały.

Zaledwie przysiadłszy się zrywał się znowu, jakby go co piekło.

Kilka razy dobył zegarek Gugenmussa, który nosił w zanadrzu, popatrzył na godzinę i wracał do utrapionój przechadzki po ciasnych izdebkach; przerywanój tylko stawaniem u jednego to u drugiego okna, jakby czegoś lub kogoś wyglądał, a doczekać się nie mógł.

Łatwo odgadnąć było że to coś czy ten ktoś nie miał mu przynieść nic przyjemnego.

Kroki się dały słyszeć przed progiem i Burzymowski rzucił się pędem ku wnijściu, gdy we drzwiach ukazał się z wielką flegmą wkraczający szambelan Pokutyński, z uśmiechem na ustach, rumiany, wesół jak na przekorę niespokojnemu koledze swemu.

Burzymowski nie mówiąc stanął naprzeciw niego, ręce opuszczone załamawszy z rozpaczą.

— Nareszcie! — zawołał a raczej wybuchnął głośno. — A mnie tu diabli biorą czekając! Człowiecze!

— Szambelanie mojej duszy! gorączka jesteś! — rzekł Pokutyński. — Ze sześćdziesiąt lat jest jak cię w gorącej wodzie skapano, a do tej pory nie ostygłeś!

— No! daj pokój morałom! zamykaj drzwi siadaj i na miłego Boga, na rany Chrystusowe, wytłumacz mi!

Pokutyński stawiając łaskę, składając kapelusz

ściągając powoli rękawiczki, regulując *en petit maitre*, nieco zmięte ubranie, uśmiechał się ciągle jakby naumyślnie nie spiesząc z odpowiedzią.

— Ależ, proszę cię — proszę cię! — wołał przynaglając go Burzymowski z niecierpliwością rosnącą coraz. — Co to było? co to ma znaczyć?

Pokutyński zajęty był strzepywaniem i zdmuchiowaniem pudru z rękawów, odprostowywaniem pomiętych nieco żabotów, przyglądał się butom swoim, dobywał chustki aby je otrzepać.

Zwłoka ta umyślna do najwyższego stopnia doprowadziła rozdrażnienie Burzymowskiego, który, jakby gwałt sobie zadając, sparł obie ręce na poręczach krzeszła, palce sobie wyprostował i usta niemi zatknął.

Gdy szambelan przybyły usiadł nareszcie, dobył tabakiereczki, zażył tabaki trochę i począł się w kolegę wpatrywać, Burzymowski — krzyknął.

— Drwisz sobie ze mnie czy co? Jak mi Bóg miły. — No? będę ja nareszcie wiedział co to ma znaczyć?

Pokutyński zdawał się odegrywać jakąś rolę zachęcony może dosyć szczęśliwie wykonaną Nathana w Atalji. Powolniejszym był niż zwykle. Może go to bawiło.

— Kochany panie Stanisławie — odezwał się z wolna i dobitnie, cedząc wyrazy. — W twoim wieku, z twym doświadczeniem, z twoim rozu-

mem, z przenikliwością (szydersko trochę położył nacisk na tym wyrazie) gdzie się mnie pytać o rzecz jasną jak słońce?

— Gdzie u kata, jasną! — wybuchnął porywając się Burzymowski, i wnet znów opadając na krzesło. — Cóż tu jasnego? Urzędownie mi wprowadzasz do domu tego Barona czy Barana francuzkiego — po co? Na co? Do czego? Kto cię prosił o to?

Siedzimy tyle czasu w Warszawie, francuz ani mnie znał, ani na mnie spojrzał. Nagle, coś do niego przystąpiło — każe mi się prezentować! Ty go tu wprowadzasz!

— A no, tak jest! Lepiej późno niż nigdy! — rzekł Pokutyński.

— Ale po cóż on mnie? Na co ja jemu? Ja z innój on z innój parafii! Mnie jego francuszczyzna, notabene nieosobliwa, nie bawi, bo czy spleń czy źle wymawia, dosyć że ja umiając dobrze po francuzku, ledwie go mogę zrozumieć. — Ja go moją polszczyzną też pewnie nie rozerwę. Pokutyński ramiona podniósł.

— A zatem, — rzekł, — jasna rzecz że on tu dla ciebie nie przybył.

— Nie dla mnie? — podchwycił Burzymowski. — Więc dla kogoż? Chyba dla Wojskiej Cześwskiej, albo może Zybka chce uczyć parle franse!

— No! znajdzie się u ciebie ktoś więcej? —

szepnął z ukosa spoglądając nań Pokutyński i — chrząknął.

Burzymowski ogromnie usta wydawszy, brwi podniósł, minę nastroił straszną i głową począł zwolna wahać.

— Fiu! fiu! fiu! Nie dla psa kielbasa!! ho! ho! ho! Patrzajcie no go? Patrzajcie! Zapewne! Jeszcze czego nie stało! A cóż to on sobie myśli?

Łagodnie rozśmiał się Pokutyński.

— Słuchaj kolego — rzekł poważnie, mówmy rozsądnie!

Baron de Beaumont, kawaler Ś. Ludwika, spokrewniony z dukiem de Fleury, z Choiseulami, z najpierwszemi domami we Francji. — Cóż ty sobie myślisz?

— Co ja myślę? A to ja ci powiem, — żywo odparł Burzymowski. — Gdyby mi się baronostwa chciało, tylko bym palca zakrzywił i miałbym austriackie, świeżo z rożna, w najlepszym gatunku. On kawaler Ś. Ludwika, nie uwłaczam temu świętemu ze krwi panującój, ale ja jestem kawalerem Ś. Stanisława i — nie wiem który tam z nich lepszy. Choćby był kawalerem wszystkich świętych, francuz, z pozwoleniem, goły jak bizun, nie koniecznie młody, przybłęda, — a co ja z nim będę robił? To mi dopiero szczęście i partja! Sylwia piękna jak anioł, a mój, mosanie Burzymów, Burzymówka, Sawin, Miatnica i Przegony, choćby dla księcia ładny posag stanowią.

Ona jedynaczka, a ja się żenić nie myślę Czyś ty oszalał, Pokutyńsiu? Co tobie? Przeżegnaj się!

I począł się śmiać szambelan suchym śmiechem, na prawdę gniewu pełnym. Pokutyński łaskę ze złotą galką trzymał w ustach, patrzył, słuchał, milczał.

— Wygadałeś się już? — zapytał.

— Reszty się może domyśliłeś — dodał stary trzęsąc się z apprehensyi.

— No — otóż ja ci powiem że racji nie masz — odezwał się Pokutyński. — Francuz jest człowiek europejski, znany całej rodzinie królewskiej. Gdy przyjdzie do restauracji, dynastji, a to nastąpić musi, ma przed sobą ogromną przyszłość Człowiek zdolny, ma talenta...

— Zdolny? Do czego? — przerwał Burzymowski. — Ja tylko wiem że sylwetki z papieru czarnego wystrzyga, i jak mnie raz zrobił, upalantował mi takiego nosa...

— Przeczuwał widać że ty mu także dasz nosa, — dodał Pokutyński, — ale posłuchajże cierpliwie, nie skończyłem.

— Zatem? Cóż dalej? — spytał zasiadając w fotelu głęboko Burzymowski.

— Starożytnie baronostwo francuzkie z czasów krucjat, przecież na równi z ladajakiem tam austrijackim iść nie może? De Beaumonty są szlachtą historyczną!

— Czlecze! Na rany pańskie — krzyknął Bu-

ryzmowski. — A mnie co po historycznym szlachcicu w Burzymowie? — którego wszyscy za fryzjera brać będą? Żeby moje wnuki miały być francuzy! A! niedoczekanie wasze! Na to — ja nie pozwolę!

Nagle opamiętawszy się w gorączkowym zapale szambelan, rozśmiał się i rzekł.

— Czyż może być ażeby ten mój śliczny, różowy, wonny kwiatek, ten mój aniołek drogi, nie był już więcej wart nad wędrownego francuza w dziurawych pończochach? Możeż to być aby moja córka taki wybór zrobiła? Chybaby oślepla czy oszalała!

— Strasznie bo się gorączujesz! — odparł zimno Pokutyński. — Wszakże nie ma jeszcze nic, a za propozycję gniewać się nie godzi.

— Mnie ona gniewa! — wołał szambelan, bo jużciż córka moja i ja więcej coś warci jesteśmy.

— Ale cię nikt nie zmusza! — rzekł przybyły.

— Ba! ale mnie to, do trzech kroć sto tysięcy, kompromituje! — dorzucił Burzymowski. — Ludzie dowiedziawszy się o tém, śmiać się będą. Przywołając tu moją Sylfidę marzyłem wcale o czém inném...

Pokutyński gałkę w ustach trzymając milczał.

— Takie dziewczę! z takim wychowaniem, dowcipem, urodą, majątkiem, miało prawo czegoś innego wyglądać.

— Cóż bo ty myślisz? — przerwał Pokutyń-

ski,—we Francji de Beaumonty to tak jak u nas niby Potoccy! Co się zowie rodzina znakomita.

— To niechże sobie z tēm imieniem jedzie tam, gdzie ono tak wiele znaczy. U mnie ta moneta waloru nie ma! Dla mnie Beaumont wszystko równo co kuchcik, a, na uczciwość powiadam, taki Ledoux co kassyno sztyftuje, ledwie mi się nie lepszym wydaje nad niego!

Ale pfe! pfe! — mówił coraz się więcej rozpalając Burzymowski. — Na samą myśl wydania córki za niego włosy mi się jeżą. Dopieroż by to panie, cały dom trzeba było tłumaczyć na język francuzki. Ta bestja języka naszego się nie nauczy tak samo jak razowego chleba jeść nie będzie. Przyniosą, supponuję (*quod Deus avertat*) bigos lub kapuśniak panu Burzymowskiemu, zięciaszek, (Boże od tego uchowaj!) delikatny nos zatyka! Dla zięcia smarzyć trzeba ślimaki i żaby! Teść ucieka od stołu, aby nie womitował!

Pfe! pfe! No, ale o tēm i mowy być nie może, — dodał uspokajając się szambelan, — ani ja, ani córka na to nie zezwolimy. Po cóż mi go tu było wprowadzać, abym ja go wyprowadzić musiał?

— Czekajże, uspokój się, nie gorączuj! — przerwał Pokntyński. — Zróbmy przypuszczenie, prostą hypothezę.

A gdyby go przypadkiem panna Sylwia sobie podobała, przyszła i powiedziała ci — Kochany

tatku, ja koniecznie chcę za barona de Beaumont.

— To nie może być! — krzyknął Burzymowski, który przez chwilę stał osłupiały. — Chybaby moją córką nie była!

— Lecz przypuśćmy, — nalegał Pokutyński.

— No, to powiedziałbym jój: Głupia jesteś! — zawołał oburzony szambelan.

— Ale córkę kochasz? — zapytał gość.

— Jakże ty mnie o to pytać możesz? — ofuknął z oburzeniem Burzymowski.

— Więc, gdyby ci się rzuciła do nóg i powiedziała, że bez niego żyć nie może? — ciągnął dalej neliतोसीwy Pokutyński.

Burzymowski ręce założył na piersiach i stał przybity.

— Naówczas — wyjęknął — byłby chyba koniec świata!

To mówiąc począł chodzić i wzdychać.

Zamilkli oba. Pokutyński udał się po ratunek do tabakiereczki. Dobył ją, zręcznie z niej we dwa palce tabaki wziął, zażył, strzepnął je, i podsunął gospodarzowi tabakierkę. Ten odmówił, a Pokutyński się odezwał flegmatycznie.

— Mój kochany szambelanie, są na świecie gusta niepojęte, są sympatyje, których przyczyn nikt nie zbadał, miłości niezrozumiałe a często śmieszne. Może się trafić, że najpiękniejsza panna

zakocha się szalenie w człowieku ni z pierza ni z mięsa — no, i będzie z nim szczęśliwą!

— Wszystko się trafia, — odparł Burzymowski znacznie już uspokojony, po wylaniu tego co mu na sercu ciążyło. — Ale my ludzie jesteśmy ordynaryjni i nie mamy gustów popsutych a dziwacznych. Juści są panny co lak i krede jedzą! Wszyscy jednak Burzymowscy, jak świat światem, żenili się, ot tak z ordynaryjnie ładnymi kobietami, a Burzymowskie wychodziły za zdrowych i majątnych szlacheiców.

Pan Bóg mi syna nie dał, na Sylwię spada majątek wcale nie szpetny, ona też nie lada kwiatek, mam prawo wymagać, aby się w suchój wierzbie nie zakochała. Daj mi więc z tém pokój — i kwita.

A, żeś mi francuza do domu wprowadził, niech ci pan Bóg nie pamięta!

— Gniewasz się na mnie, — przerwał gość śmiejąc się, — no! a córki pytałeś? mówiłeś z nią o tém?

— Cóżem ja z nią miał mówić? — odparł szambelan z ruszeniem ramion. — Poddawać jęj taką myśl głupią? Patrzałem tylko jak ona go przyjmie. Chodziła, powiadam ci, jak królowa, a francuz zwijał się jak fagas, robił się maleńki, choć go było do kieszeni schować, gdyby jęj nie zapaskudził... Nawet Czeżewska, która *expedite* mówi po francusku, jak rodowita flondra fran-

cuska, a szwargotać lubi, na niego się bundziu-
czyła... Ale bo — pfe!

— Koniec końców, — dodał Pokutyński, —
jeśli tak, nie ma o czém mówić, i nie ma się
gniewać za co. Ja, odmówić takiej posługi, nie
mogłem, zwłaszcza dla jednego z tych wygnań-
ców, którym my winniśmy respekt, jaki się nie-
szczęściu należy.

— A! to co innego! — odezwał się Burzy-
mowski. — Jestem z respektem zawsze względem
wygnańców, kalek i wszelkiego rodzaju nawie-
dzonych. Oprócz respektu niemało dałem duka-
tów do składek na nich, ale żebym przez mi-
łosierdzie miał mu jeszcze dać córkę w doda-
tku?.. A! przepraszam — to jużby było zanadto!
Prędzěj sobie dam uciąć palce.

Gdy gospodarz to mówił, szambelan wstał
i począł z tą samą powolnością, z jaką się wprzód
rozbierał przyszedłszy, ubierać nanowo; rękawiczki
wdziewać, kapelusik otrzepywać, futerko nacią-
gać, perukę układać.

Staął nawet naprzeciw lustra, aby być pe-
wniejszym, że wszystko na nim dobrze leży.

— A więc, kochany panie Stanisławie, —
rzekł przygotowawszy się do drogi i rękę do
niego wyciągając, — bez gniewu. Uczynisz co
zechcesz, jak ci się podoba. Mnie zaś, grzeczno-
ści dopełnionej dla emigranta za złe mieć nie
możesz.

Burzymowski wstrzymał się już od nowych wyrzutów, pomruczał coś pod nosem, pożegnał go i zatrzasnąwszy drzwi powrócił chmurny do krzesła.

Cała ta rozmowa, której przyczyną była wizyta barona, usposobiła dziwnie naszego starego. Smutek mu jakiś padł na duszę. Inaczej zaczynał widzieć wszystko, tęskność się w nim budziła do spokoju na wsi, do dawnego życia, miasto mu zbrzydło i nagle wydało się czémś nieznosném, brudném, nawet niebezpieczném.

— Już lepiej ją wydać za tamtego com go trzymał w zapasie, — rzekł w duchu. — Trochę ułomny, ale szlachcic polski i poczęści na pana zakrawa. Dali im hrabstwo, a choć natura go nieco pokrzywdziła, prezentuje się jak nie można lepiej i człowiek do rzeczy.

Prawdę rzekłszy, — ciągnął dalej zaczynając przerwany pasyans kłaść Burzymowski, — ja nie wiem, po co my tu dłużej siedziećbyśmy mieli? Zapusty się skończyły, ta zabawa w pisane karteczki niekoniecznie dziewczynę rozerwie; życie okrutnie kosztowne, człowiek w śmierzdzących dwóch izdebkach siedzi, jedzenie pożał się Boże, albo figatele i pulpety, albo coś takiego, co ani do gęby; żołądek cierpi, kieszeń się wypróżnia, czas by, jak Boga kocham, do domu powracać.

Wysiedzieliśmy tylko — francuza! a to, panie, tak jak ta kura co wylęła bazyliżka!

Śliczny interes! Słowo daję, powiem Sylfi-dzie, niech manatki pakuje i do Burzymowa. Spencetrowała już co chciała — i dosyć tego.

Raz powziąwszy tę myśl, Burzymowski się do niej coraz mocniej zaczął przywiązywać — utkwiała mu w głowie.

Postanowił tegoż wieczora, doczekawszy się córki, bo teraz rzadko kiedy siedziała w domu, rozmówić się z nią o tém kategorycznie.

Zdawało mu się, iż na powrót chętnie się zgodzi. Zbliżała się wiosna, wołał piękny ogródek i kwiatki w Burzymowie.

Oprócz innych pobudek, list rządzczy dóbr szambelana przyczynił się do utwierdzenia go w myśli opuszczenia Warszawy.

JMPan Fansowicz donosił mu, że omloty nadspodziewanie chybiły, w stertach myszy polne wyrządziły szkody ogromne, i że w dwóch folwarkach na nasienie jarzynę kupować będzie potrzeba. Pieniędzy żądanych zamiast dwóch tysięcy wysłał tylko półtora tysiąca czerwonych złotych, bo więcej w kasie nie było.

Z kupna gorzałki żyd się zrzucił, wołów na braże kilka zdechło i t. p.

Burzymowski czuł zgryzoty sumienia, że majątek i gospodarstwo zdał na najemne ręce i oczy, a był tego przekonania, iż jego kierunek i do-zór nadzwyczaj tam były potrzebne.

Utwierdziwszy się więc w przekonaniu, że

wracać musiał, niecierpliwie na córkę oczekiwał. Ale wieczór nadszedł i noc już się zbliżała, a pań tych nie było.

Przysłuchiwał się szambelan wszelkim ulicznym hałasom, ciągle spodziewając się, że powóz jakiś przed jego domem się zatrzyma, — wszystkie go mijały.

Pasyans kładł nieskończoną liczbę razy, aż go znudził, chociaż miał ich kilka na zmianę.

Wieczерę kazał sobie Zybkwі przynieść do domu i butelkę piwa, bo sam pozostawszy żył skromnie. Zjadł kawałek żyłowatego mięsa, piwo kwaśne do kropli wysączył, zmęczył się chodzeniem, myśleniem znużył, kobiety nie powracały.

Zaczynał się już dąsać, coraz to spoglądając na Gugenmussa.

— Z temi babami to tak zawsze, — mówił w duchu, — guzdrzą się nim wyjadą, a potём powrócić nie umieją nigdy na godzinę naznaczoną. Choćby która była najstateczniejsza, natura w niej kobieca zawsze, Z nocy dzień, z dnia noc robią, kota do góry nogami przewracają.

Zaturkotało. — Szambelan wybiegł. — Sylwia wysiadła właśnie w sukni długiej obcisłej papuziego koloru, przejrzystym woalem osłonięta jak obłokiem, śliczna jak anioł, ale gdy ojciec spojrzał na nią przestraszył się.

Błada była jak trup, oczyma osłupiałemi patrzyła nie widząc, ręce jej drżały, oglądała się

niespokojnie, nie poznała czy nie zobaczyła ojca. Zamyślona, pogrążona w sobie, zdawała się przez boleść jakąś od przytomności odchodzić.

Dopiero przemówienie ojcowskie, głos ten łagodny tak jej dobrze znany, przywrócił ją do życia. Zobaczyła go i rzuciła mu się na szyję z nienaturalną, wezbraną czułością jakąś, jak gdyby obawiała się go utracić.

Czeżewska idąc za nią wyprostowana, sztywna, usta miała zapadłe, zaciśnięte, czoło sfaldowane, a w twarzy wyraz jakiegoś trwogi.

Szambelan jakkolwiek wcale nieprzenikliwy ani domyslny, dostrzegł że kobiety powracały strwożone czémś i znużone, nie tak jak z zabawy przybyć były powinny.

— Cóż to? czy nie chora jesteś? uchowaj Boże! — zapytał córki.

Sylwia jakby nie zrozumiała.

— Chora? — wybąknęła cicho, — chora? Nie wiem! Tak! niedobrze mi, niedobrze!

Czeżewska przyszła jej w pomoc.

— Przełękła bo się w drodze, powóz się przechylił.

Szambelan począł łajać woźnicę.

— A jakże, proszę jaśnie pana, nie miał się przechylić, — ofuknął warszawski stangret, z koźla się pochylając. — Gdzież to kto o takićj porze jeździ po takich dziurach, kędy nawet latarki żadnej nie увидzi. Jać kocich oczów nie mam.

— Toż powracacie z pod Blachy? — krzyknął szambelan. — Co on plecie.

— Ale, z pod Blachy! — zaśmiał się szydersko woźnica. — Bodaj pan tak zdrów był! Aha!

Zaciał konie i odjechał.

W czasie tego epizodu Sylwia stała w sieni, Czeżewska z przestrachem wbiegła do niej także. Burzymowski ze zdziwienia osłupiał, nie wiedział co miało znaczyć to jeżdżenie nocą po dziedzińcach i zawrócił do córki.

— Zkądże bo jedziecie? gdzie byliście? o tej porze? — począł pytać zburzony.

— Musiałam odwieźć majorowę, której powóz nie przyszedł, i na chwilę do niej wstąpiłam, — śmiało odpowiedziała Sylwia. — Cóż tak dziwnego?

— A! niechby ją tę majorową wilcy zjedli! — krzyknął Burzymowski, — żebyś ty dla niej miała się sakryfikować!

Nic mu już nie odpowiadając córka poszła na górę, a on powlókł się za nią, rozmyślając nad tą tak późną wizytą u Habakowskiej, której cierpieć nie mógł.

Gdy na górę weszli, Sylwia jakby znużona, nie zrzucając nic z siebie padła na kanapę. Nawet Burzymowski spojrzawszy teraz baczniej na nią, znalazł ją tak jakoś strasznie zmienioną chorą, smutną, znużoną, iż odwaga go opuściła wniesienia drażliwej kwestyi powrotu.

— Ale bo to, duszko moja, — rzekł łagodnie, — ty musisz się czuć niedobrze i zmęczona jesteś! czy cię uchowaj Boże, co nieprzyjemnego nie spotkało?

Stojąca obok Wojska głową tylko potrząsała.

— Ja właśnie czekałem na ciebie chcąc pomówić w jednym interesie, — rzekł stary, — a tu, widzę, nie pora.

— O czém chciałeś mówić kochany tatku? — słabym głosem odpowiedziała Sylwia, oczy podnosząc na niego.

— Rzecz nie jest jeszcze tak pilna, będzie na to czas, — odparł szambelan. — Toczyło się to naszego powrotu do domu.

— Do domu? czy ci tak pilno? — spytała podnosząc się nieco.

— No, poraby już wracać, — rzekł Burzymowski. — Ty się tu więcéj męczysz niż bawisz, co i z humoru i z twarzy widać, a ja naprawdę nudzić się zaczynam. W domu, do kaduka, źle idzie gospodarstwo; rządca mi pisze, że jabym mu się tam bardzo zdał.

— Ale, zmiłuj się ojczy, ja bo powrócić nie mogę! nie chcę! — zawołała Sylwia stanowczo.

— Jak to, nie możesz! — zawołał zdziwiony ojciec, — nie możesz? Cóż? dlaczego?

Szambelanówna spuściła oczy, zmięszana, drąc swój woal w rękach.

— Stosunki towarzyskie, projekta różne, pra-

wie zobowiązania. Ja obiecywałam, nie przewidyjąc, żebyśmy tak rychło mieli opuścić Warszawę. Ojciec o powrocie nie wspominał dotąd nigdy, a jam się nie spodziewała...

— Juściż mogłaś przewidywać, że do domu kiedyś powrócić potrzeba, — rzekł szambelan kwaśno i skłopotany trąc głowę. — Widoków tu żadnych nie mamy, czegoż będziemy się rujnowali i siedzieli.

Sylwia milczała, Burzymowski poczekawszy próżno na odpowiedź, dodał.

— No, więc cóż ty na to?

— Mówiłam ojen, ja teraz, tak prędko, wyjechać?! ale ani myśleć! nie mogę!..

— To jest, nie chcesz! moje dziecko! — śmiejąc się niby począł Burzymowski, którego na widok córki przykre jakieś ogarniało uczucie.

— No, to może i nie chcę! — niedbale odparła Sylwia, — a może, może mi nie wypada!

— Serce moje, — zbliżając się do niej szepnął ojciec tak aby go Czczeńska nie słyszała. — Masz co napiętego?..

Na bladą twarz biednego dziewczęcia wystąpił rumieniec i zniknął. Popatrzyła z politowaniem i czułością na ojca.

— Mój ty dobry, mój kochany tatku! — odezwiała się głosem zbolalym, błagającym. — Nie pytaj mnie o nic. Nic ci powiedzieć nie mogę

takiego, coby ci radość sprawiło, a próżnym smutkiem po co cię karmić?

— Ale na Boga! jakiż ty możesz mieć smutek! — zalamując ręce krzyknął szambelan.

— Ah! nie, nie! — przerwała Sylwia widząc go tak poruszonym, — ale, smutne jest to życie! zabawy są smutne i wesołość niewesoła, mój dobry ojczy!

Burzymowski zbliżył się całując ją w czoło i przestraszył się dotknąwszy go, znajdując je jak ogień gorącym.

— Ale ty chora jesteś! — zawołał, — głowa rozpalona okropnie!

Sylwia białą dłoń przyłożyła do czoła, powiodła po niem i odpowiedziała.

— Nie wiem! Może!

Mowa i twarz córki zaniepokoiły wielce staro, nie myślał, nie chciał już nalegać o nic. Sylwia spróbowała wstać opierając się na rękę, i opadła ze smutnym uśmiechem na kanapę. Spuściła oczy, milczała; potem jakby dla zmienienia przedmiotu, szepnęła.

— A z Miciem co się tam dzieje? nie wiesz?

— Mieczysław ma się lepiej, — odpowiedział żwawo Burzymowski. — Widzę, że cię pocziwy chłopiec obchodzi. Otóż, łaska Boża nad nim, nie mu nie będzie. Witaczek mnie zapewnił, że może nawet i bez okulażenia się obejdzie. Ja-

kiś czas tylko o lasce chodzić musi, póki się nie wzmocni noga.

— A prędkoż mu wyjść pozwolą? — zapytała Sylwia.

— No, rana jeszcze się nie zabiłiżniła, rzekł szambelan, ale po pokoju, trochę, czasem mu się przejść pozwolą wkrótce.

Czeżewska, która w początku na coś niby oczekiwać się zdawała, widząc że rozmowa między ojcem a córką się przedłuża, kwaśna, pomrukując wysunęła się do swojego pokoju.

— Idź i ty spać! — rzekł całując Sylwię Burzymowski, — spocznij. Dobry to ten wasz wielki świat, ale męczy i nuży. Na wsi dalipan, lepij.

Uwaga ta została bez odpowiedzi, Sylwia wstała i powoli przeszła do swojego pokoiku. Ojciec zatrzymał się śledząc ją oczyma, a gdy się drzwi zamknęły, powlókł się smutny na dół, gdzie Zybek śpiący na krześle i świeca łojowa z narosłym grzybem nań oczekiwała.

— Dobrze to mieć dzieci! — mruczał rozbierając się, — a no ma i to błogosławieństwo swe inkonweniencye. Człowiek nie należy do siebie, a nie wie jak im służyć. Dziewczyna co mi się tu miała z pączka rozwinąć, zmarniała. Zabawy te ją zamordowały!

Trzeba temu koniec położyć!

Z tém się, odmówiwszy pacierze, pocziwy

szambelan spać położył, a we śnie marzył, że się kłócił z Pokutyńskim o francuza.

Nazajutrz gdy się zrana o gospodarskiej godzinie obudził stary i na Gugenmussa spojrzął, była na nim siódma.

Zybek wysłany na górę po kawę, z zastrzeżeniem, aby się cicho sprawiał, po wschodach nie łomotał, a w kawiarni nie krzyczał, pannie snu nie przerywając, rozśmiał się wróciwszy.

— Gdzie ja, proszę jaśnie! pana, panienkę miałem zbudzić, kiedy do świtu poszła na mszę do kapucynów.

Szambelan nabożeństwem tém zdziwiony był mocno.

Dzień był już niby wiosenny, ale chłodny z przechodzącymi śnieżnicami, wcale do pieszej przechadzki nie zachęcający. Sylwia też nie zwykła była w tak ranną porę i sama jedna wyrwać się do kościołów.

— Jak to, poszła? sama, powiadasz? — przerwał nagle Zybkwowi. — A Czeżewska?

— Gdzie? pani Wojska jeszcze się na drugi bok wylega, — odparł naiwny Zybek. — Potém nim wstanie, kawę wypije, wysmaruje się, wypudruje, usznuruje... ho! ho!... u kapucynów się nabożeństwo skończy i kościoły pozamykają. Ona... chyba świece gasić!

Czeżewska w ogóle miłości u ludzi nie miała. Burzymowski się zżymnął zły, pomruczał coś.

Ta zbytńia pobożność po wczorajszym smutku wydała mu się jakąś podejrzaną.

Ówczesny świat nasz, był wprawdzie katolickim jak zawsze, zachowywał wszystkie zewnętrzne formy, jakich kościół wymaga, ale, począwszy od wyższego duchowieństwa, które dosyć lekko sobie poczynalo w sprawach wiary, aż do szlachty nie zbyt gorliwej, religia była, skutkiem wicku tego, rewolucyi francuskiej i wolteryńskiej literatury — dosyć zaniedbaną.

Biskupi świetnieli dowcipem w salonach, lubili życie wesole, tolerujący byli wielce i wyrozumiali, bo potrzebowali aby i im przebaczano wiele. Niższe duchowieństwo szło w ślady starszyzny.

Bardzo niewielu pojmovalo surowiej obowiązki duchownych. Staszic, który się sam wyłamywał z kapłańskich swych obowiązków przyjętych zawcześnie i nierozważnie, nie liczących z późniejszém jego powołaniem, nie zrzęcał jednak sukni, a na zepsucie i demoralizacyę duchowieństwa oburzał się silnie. Do jakiego stopnia dochodziła tolerancya, ten jeden przykład poślnżyć może, iż Dmochowski, który suknię duchowną zrzęcił, i zmieniwszy wyznanie ożenił się, był najlepszym przyjacielem arcybiskupa Krasiekiego i niemal domownikiem.

Nowego pokolenia kapłanów ściślej zachowujących i wymagających surowszego strzeżenia

obowiązków, reprezentantem był młody Woronicz, ale ten skromną naówczas grał rolę.

Wyższe towarzystwo nazywało się katolickiem, lecz było niemu powierzchownie tylko i póty póki religia życiu nie zawadzała.

Po wsiach za to, w szlacheckich dworach tradycyjna tolerancya dla drugich, łączyła się z największą gorliwością religijną dla siebie. Przywiązanie do wiary gorące było i wielkie. Ze wsi to pani starościna krakowska, pani kasztelanowa Połaniecka przywiozły pobożność do Warszawy, nie poświęciwszy jój obyczajowi miejskiemu.

U nich mszy słuchano codziennie, poszczono piątki, snchedni i wigilie, ale w pałacu pod Błachą, na Górze, w większej części innych elegantskich domów, wielkie się tylko obchodziły święta.

Szambelan sam pobożny był raczej z nałogu niż z ducha, córka jego wychowana przez sfrancuziałą Czeżewską, od niej się religijności nauczyć nie mogła. Zdziwił się więc niepomału szambelan nagłemu przebudzeniu tego uczucia w dziecku, gdy dawniej go nie postrzegał.

Od wczora już niespokojny, poparzył się kawą, wdział coprędzej futerko i sam też pobiegł do kapucynów.

Tu ranne msze już się dawno odbywały, msze nbogich, biednych, pobożnych. Ławki stały puste, cisza uroczysta, po kątkach klęczały tu

i ówdzie zakwiecone niewiasty. Przed dwoma ołtarzami razem msze księży odprawiali.

Szambelan wszedłszy oczyma poszukał córki, z początku jój nigdzie dostrzedz nie mogąc.

Chciał ją widzieć nie będąc widzianym, przesunął się po pod ścianami ostrożnie i po chwili dopiero zobaczył, a raczej przeczuł Sylwię w kobiecie, która na pół klęczała, w pół siedziała na ziemi, z rękami spuszczone, z głową na piersi zwieszoną.

Cała czarną okryta zasłoną, zdala wydawała się jak śliczny posąg na grobowcu. Nieruchoma, pogrążona w sobie, klęczała tak u stóp księdza, który mszę odprawiał powoli, ale z postawy jój jakby skamieniałej widać było, że myślami uciekła gdzieindziej.

Dotknęło to szambelana, że wczoraj widział ją tak przerażająco smutną, prawie nieprzytomną, a teraz postać jój cała wyrażała taki ból, takie zwątpienie, iż najzaślepieńszy człowiek w zrozumieniu ich omylić się nie mógł.

Ojcowskie serce jego uderzyło. Miał jakby objawienie nagłe, że córka jego jest, musi być nieszczęśliwą.

Lecz jakież to nieszczęście dotknąć ją mogło? Kto, co mogło ją nagłe uczynić tak biedną? Co, młodą, wesołą, swobodną zdołało tak przybić do ziemi? Myślą nawet sięgnąć nie umiał przyczyny!

Stał skamieniały jak ona, dwa tylko łez strumienie puściły mu się z oczów, a ręce same się do modlitwy błagalnej złożyły.

Ukląkł stary i rozrzewniony, poruszony, nie-szczęśliwszy nad wyraz wszelki, z sercem rozdartém, modlić się począł i płakać.

Za łzami widział ciągle tę postać w czerni, jakby skostniałą od boleści, niemogącą modlić się nawet.

U ołtarza ksiądz Hostyę podnosił, dzwoniło, schylały się głowy, uginały ramiona, Sylwia nie zdawała się nie słyszeć, ani rozumieć. Ta straszna jój nieruchomość przejmowała coraz bardziej ojca, który poczynął drżeć i coraz mocniej czuł się ogarnięty trwogą niewysłowioną.

Chciało mu się zerwać z miejsca i biedz ku niej, ale i jemu zabrakło siły.

Msza święta kończyła się nareszcie, ksiądz przeżegnał pobożnych, którzy wstawali do wysłuchania ewangelii ostatniej.

Ruch ten rozbudził Sylwię, dzwignęła się jak przestraszona, podniosła szybko, nagle powiodła oczyma po kościele, zdziwiona że się w nim znalazła gdy myślami gdzieindziej była, i krokiem chwiejącym, powoli, spuściwszy gęstą zasłonę na oczy, zaczęła iść ku drzwiom.

Ojciec patrzył na nią, jeszcze się zbliżyć nie śmiejąc.

Szła, przystając, opierając się o ławki, jakby

umyślnie zwalniając kroku. Dopiero gdy ją zobaczył zbliżającą się ku kruchcie Burzymowski, który wahał się z tém jeszcze, czy ma się z tém wydać że ją śledził, że wykradł tajemnicę jej duszy, rzucił się w ślad za nią z niepołamowaną niecierpliwością, i pochwycił wpół, gdy wodę święconą brała.

Sylwia przestraszyła się, obejrzała, i poznawszy ojca, uśmiechnęła się z za łez do niego.

— Sylwio moja! — zawołał łkając stary, po którego twarzy ciekły jeszcze dwa nieotarte łez strumienie. — Sylwio moja! Ty jesteś nieszcześliwą, a taisz się przed ojcem, przedemną.

Nie odpowiadając mu córka głowę zboląłą schyliła na piersi jego.

— Ojcie mój, — rzekła, — smutno mi na świecie, ale ty nic na to nie poradzisz! Smutno mi i ciężko w sercu, lecz widzisz żem się modliła, że do Boga szłam ze skargą, więc winną się nie czuję.

To mówiąc wybuchnęła jękiem i łzami konwulsyjnie.

Zapłakaną przerażony ojciec, bezprzytomny poprowadził do domu.

IV.

O trzy kroki od kamienicy którą zajmowali Burzymowscy, znajdował się dom, zwany, pod Filarami.

Mieszkali w niej państwo Sołtykowie.

Chociaż pan ex-stolnik koronny, synowiec sławnego biskupa krakowskiego Sołtyka nie mógł uniknąć całkowicie wszelkiego zetknięcia się z Blachą i jej towarzystwem, dom pod Filarami stanowił jedno z ognisk opozycji przeciw francuzczyźnie, księciu Józefowi i płochemu życiu świata eleganckiego,

Komedja którą się książę osłaniał od prześladowania, tak dobrze była odegrywaną, że ją za prawdę brano. Nikt w zanudzonym księciu nie domyślał się przyszłego bohatera.

Pani Sewerynowa Potocka. rodzona siostra pani Soltykowej (obie były Sapieżanki z domu) — należała do wszystkich zabaw i do poufalego kółka Blachy, pani generalowej Grabowskiej i palacu na Górze.

Siostry widywały się i żyły z sobą, chociaż charaktery ich wcale nie zbliżały.

Pani Sewerynowa przekwitła piękność, chociaż urzędownie z mężem nie była rozdzieloną, nie żyła z nim, pan Michał Grabowski był przyjacielem jej domu. — Soltykowa cała oddana dzieciom i ich wychowaniu podzielała przekonania męża, i przekładała to kółko szczuplejsze, w którym się on obracał.

Tu się schodziło co było naówczas poważniejszego w Warszawie, a nadewszystko co pragnęło moralnego, duchowego odrodzenia kraju przez pracę spokojną, uczciwą i jawną.

Na wieczory przybywali tu czasami, arcybiskup Krasicki, Staszic, Chreptowicz, Czacki, Dmochowski, młody Osiński. Tu zrodziła się pierwsza myśl towarzystwa naukowego, któremu sankcję królewską wyrobił w Berlinie, u dworu pruskiego najlepiej położony arcybiskup Krasicki.

Zajmowano się nią właśnie w tej porze.

Księżciu Józefowi i towarzystwu jego nie przebaczano pod Filarami, że żyli płochemi rozrywkami, oddzielali się od poważnych ludzi, że się

zdawali wszelką myśl pracy jakiejś i krzątania się w domu odrzucać.

Jeden arcybiskup Krasicki, który dla całej rodziny Poniatowskich miał miłość i szacunek, starał się bronić księcia.

— Tak jest, śpi nasz książę — powiadał — ale zobaczycie że pierwsza trąba co zagra na pobudkę — obudzi go.

— Chyba już ta co ma zabrznieć na Jozefatowój dolinie! — odważył się raz cicho szepnąć Osiński młody, autor roznoszonego po Warszawie dwu wiersza...

.....

Bo nie cała Warszawa jest Blachą pokryta.

Pod filarami głośno nawet czasami ubolewano nad płochością towarzystwa, nad skandalem owego gospodarstwa pani Vauban, miłostkami i intrygami, pojedynkami i hulankami, które zdawały się całą treść życia młodzieży stanowić.

Natomiast pod Blachą, gdy Sołtyk na prawą rękę cierpieć zaczął, która mu później obezwładniała, skomponowano anegdotkę (równie fałszywą jak ta którą wymyślono na Ożarowskich) — iż ś. p. Kajetan Sołtyk, gdy po smutnej katastrofie ukazano mu podpisy tych co go uznali obłąkanym, między niemi znalazłszy imię synowca, miał zawołać.

— Bodaj mu ręka uschła!

Wszystkie wybryki ks. Józefa, życia jego pod

Blachą i w Jabłonnój, było przedmiotem sarkazmów, dowcipów, oburzeń, pod Filarami.

W Jabłonnój oddawano to im z nawiązką.

Gdy na *Sociecie*, w późniejszym teatrze, w domu dla obu sfer przystępnym spotykały się dwa obozy, witano się zdala, z musu i dla przyzwoitości przemawiano słów parę, chłód i odraza były widoczne.

Wszystkich Sołtyka przyjaciół, *polakeryą* zwanych, pomawianych o patryotyzm *d'antichambre*, miano za pedantów, ludzi ograniczonych, niewykształconych.

Dosyć powiedzieć, że do nich należeli Czacki, Woroniecz, Chreptowicz, Krasicki, Staszic.

Dla księcia arcybiskupa tylko miano trochę więcej respektu, bo był dowcipnym, miał maniery wielkiego świata, europejską sławę i ten szczęśliwy charakter, który mu pozwalał wszędzie i zawsze z taktem, zimną krwią, tonem arystokratycznym a łagodnym, stać się przyjemnym nawet tym, co chcieli mu być nieprzyjaźnymi.

Pod Filarami nie bawiono się tak bardzo hucznie, ani tak wystawnie i wspaniale jak pod Blachą, ale przyjęcie było pańskie, dom na wielkiej stopie, a gospodyni nadzwyczaj uprzejma i miła.

Pan ex-stołnik miał w różnych sferach przyjaciół, klientów i stosunki.

Właśnie dnia tego gdy rano córkę Burzymow-

ski zastał w kościele, do pana Stanisława Sołtyka przyszedł Dominik Szymanowski, sławny dowcipniś swego czasu, w którym na dowcipniśiach wesółych nie zbywało.

Godzina była wieczorna, pan ex-stolnik sam siedział w swoim gabinecie, oczekując na podanie światła i odwiedziny znajomych, które się zwykle o szarym mroku poczynają.

— Cóż tam słyszać panie Dominiku? — spytał krzesło mu podając gospodarz.

— Nic a nic nie słyszałem nowego. Jak na Warszawę, zdumiewająca cisza. Od wczoraj nikt się z nikim nie pobił, nie było pojedynku, nie rozerwał się żaden nadwerężony węzeł, nie zadzierzgnął nowy, nie zgrał się nikt, i pod Błachą ziewają.

— Więc nie wiesz że grają w dewizy? — rzekł Sołtyk.

— Ale to ziewać nie przeszkadza, — mówił pan Dominik. — Może kartują małżeństwa skromne, o których się głośno nie mówi. Rodzaj ab-solucyi *in articulo mortis*... O jednym z takich słyszałem, ale w nie nie wierzę.

— No, o jakim? — spytał gospodarz.

— Pięknej sąsiadki pana dobrodzieja, — rzekł palcem w stronę ukazując Szymanowski.

— Jakićj?

— Juściż nie mogłeś pan nie widzieć jćj i nie słyszeć o tćj, *cette adorable Silvie!*

— A! a! wiem! Mówisz o córce tego szambelana Burzymowskiego, co tu obok mieszka! — odparł Soltyk. — Starego ojca jój widuję czasami, pannę parę razy najrzałem zdaleka... Piękna bo bardzo.

— Była! — dodał Szymanowski. — Od pewnego czasu mocno pobiadła i strasznie melancholicznie zaczęła wyglądać.

— A! wiem! — odezwał się obojętnie gospodarz. — Plotą że książę się w nią kochał czy kocha... bo, o księciu mówiąc, — dodał, — a o kochaniu zawsze bezpieczniej używać czasu przeszłego.

— Książę kochał się może! — odparł Szymanowski, — ale panna za nim szaleje. Radby się jój pozbyć, bo mówią, że mu jój żal, że ma dla niej osobliwe poszanowanie. Więc żeby się uwolnić od natrętnej miłości, męża jój pono szukają.

Soltyk ruszył ramionami.

— Nie płęć, proszę cię — rzekl. — Nie godzi się. Żal mi biednej ofiary...

— Powiadają o niej dużo, o natarczywości z jaką ściga księcia a on jój unika, ale — jeśli mówić nie wolno, milczę, — dodał Szymanowski.

— Najniedorzeczniejsze plotki po mieście obiegają i rosną jak lawiny, — rzekl gospodarz, — ja ich powtarzać nie lubię.

Pani Soltykowa, która pocichu się zbliżyw-

szy stanęła w progu i wysłuchiwała koniec rozmowy, podeszła z pytaniem.

— Czy nie o sąsiadach mówicie panowie?

Pan Dominik odwrócił się aby przywitać gospodynię, a mąż potwierdził domysł jej.

— Tak, — rzekł, — mówiliśmy o Burzymowskich, ja szambelana spotykałem dawniej i teraz. Znam go trochę. Człowiek dobry z kośćcami, przywiązany do dziecka, ale dobroduszny i łatwowierny do zbytku. Przywiózł tę młodą swoją, niedoświadczoną, spragnioną zabawy i świata istotę, nie wiem pod czyją oddając opiekę.

— A! mnie jej niewymownie żal, — westchnęła pani ex-stolnikowa. — Tak bliskie sąsiedztwo nasze, iż niepodobna było uniknąć ich podpatrywania. Panna mnie interesowała. Z twarzy jej ślicznej patrzyło dziecinne roztrzępianie, natura namiętna i nieopatrzuca. — Co ludzie mówią o jej rozkochaniu się w księciu, nie wiem o ile prawdziwe, wiem że książę dla niej był i jest z największym szacunkiem i nigdy płocho się koło niej jak koło innych nie kręcił.

Ale w tym domu — coś się dziś stało! Nie wiem co to jest! Mimowolnie przez okno wyglądając postrzegłam coś, co mi daje do myślenia, że nad temi biednemi ludźmi zawisło nieszczęście jakieś.

— A cóżeś to dopatrzyła tam? — spytał mąż.

— Raniuteńko, — mówiła pani Soltykowa, —

panna sama, zakwiefiona pobiegła do kościoła. Trudno jej nie poznać po figurze, po chodzie, bo ma wiele dystynkey i wdzięku. Trochę później, gdy z zaciekawioną oknem wyjrzała, dostrzegłam, że ojciec pospieszył za nią. Wyszli nareszcie razem, szambelan ją podtrzymywał, jakby osłabłą. Szła z głową spuszczoną — szepotali coś z sobą.

Sluchacze milczeli, gospodyni mówiła dalej powoli z wyrazem współczucia.

— To jeszcze nic. W chwilę po ich powrocie do kamienicy, wybiegł pędem sługa, siadł do dorożki, poleciał nagłąc woźnicę i przywiózł wkrótce doktora Witaczka.

Około domu ruch się zrobił jakiś niezwykły. Posłałam zaraz dowiedzieć się co to było. Przy niesiono mi tylko wiadomość, że szambelan nagle zachorował mocno.

Około południa na kułach, ranny niedawno, przyjechał kuzyn ich Mieczysław Grabski, który, jak powszechnie gloszą, pojedynekował się za pannę. Musiano go z powozu wysadzać, bo o swęj mocy wysiąść nie mógł.

Coś go więc bardzo pilnego skłonić musiało do przybycia. Wiele osób dowiadywało się tam w ciągu dnia, które po większej części nie przyjmując, odprowadzono. Między innemi poznałam barona de Beaumont i szambelana Pokutyńskiego.

— Coś się więc tam smutnego i groźnego

stać musiało, — odezwał się Sołtyk. — Ale starego szambelana widziałas przecie zdrowym, gdy szedł do kościoła?

— Córka mi się wydała daleko słabszą od niego! — potwierdziła gospodyni.

Służący wnosili właśnie światło i kroki czyjeś słyszeć się daly.

Pani Sołtykowa obejrzawszy się postrzegła jednego z przyjaciół domu, pana Wasilewskiego, który nadechodził powoli z twarzą smutną i zasępioną.

Był to człowiek niemłody już, tetryk, surowych obyczajów, sędzia niemiłosierny ówczesnego społeczeństwa.

— Cóżś to taki chmurny? — odezwał się witając go gospodarz.

— Mogłbyś się pan stolnik zadziwić raczej, gdybym pod te czasy śmiał być wesołym, — odparł Wasilewski, — jest to zaprawdę chwila, co i zółć burzy i lzy z oczów wyciska.

— Nowego coś? — zapytała gospodyni.

— Nowości smutnych bez liku, niestety, — mówił przybyły, — żadnemu dniowi na nich nie zbywa. *Nulla dies sine nigra linea*. Lecim tak szybko do przepaści, jak gdybyśmy z wielkich wyżyn spadli!

Był to zwykły tryb wysławiania się Wasilewskiego, który zamilkłszy i westchnąwszy dodał.

— A taż nieszczęśliwego Burzymowskiego historya?

— Właśnieśmy o nich mówili, bo to sąsiedzi nasi. Na prawdę nie wiemy dobrze co się stało, ale coś złego!

Niepokój tam wielki.

— Tyle tylko wiem, — rzekł Wasilewski, — że rano był wesół i zdrów, pocziwe szambelansko, *simplex servus Dei*, jak rzadko. Gdy to mówię, nie zaręczam czy żyje.

Wpadł tu ze swą dobroduszością między ludzi najzepsutszych, ślepy na wszystko, i najlepiej trzymając o naszym towarzystwie. Powiadają, że się czémś zgryzł nagle i apopleksyą został tknięty.

Padnie ofiarą pewnie.

Wprawdzie sprowadzono doktora, który mu zaraz krew puścił, ale podobno już ani przytomności ani władzy nie odzyskał — i co chwila spodziewają się że skończy.

Wasilewski mruknął coś jak przekleństwo.

— Nigdy się to z nim i z córką dobrze skończyć nie mogło, — mówił dalej. — Przyjechało to ze wsi a wpadło w gniazdo osie. Panna, dziecko, z wyobraźnią rozbujaną, dostała się w ręce Vaubanowej i kompanii, pod opiekę blaszaną, — głowę jej książę zawrócił, choć może sam nie chciał!

Już gdy się Grabski o nią pojedynekował z tym

młokosem, chodziły bałamutne plotki, że panna się w księciu kochała, a on bardzo to miał przyjmować obojętnie. Dziewczyna nieopatrna, nie dbała co o niej mówić będą, afiszowała się jakby umyślnie, któż wie? ojciec mógł się czegoś dowiedzieć, był do dziecka przywiązany!

Wasilewski kończył swe uwagi, gdy się wsunął do salonu stary Białopiotrowicz.

Gospodarstwo oboje chcąc uniknąć dalszego rozprawiania o tym niemiłym przedmiocie, poczęli o pogodzie, o prusakach, o Francyi, o wojnie. Przybyły gość po kilku słowach sam wtrącił.

— Słyszeli państwo o nagłej śmierci Burzymowskiego? Wszak to w sąsiedztwie? Przechodziłem właśnie około kamienicy i ledwie się mógł precisnąć, tyle tam powozów, ludzi, służby, i taki zamęt około tego domu.

— Zatem, umarł biedny! — westchnęła pani Sołtykowa.

— Razila go nagle apopleksya; człowiek był otyły, jeść pono lubił — coś go zirytowało!

Pan Białopiotrowicz nie chciał nic wspomnieć o plotkach, które chodziły.

Spojrzeli wszysecy po sobie.

— Mnie żal tego poczciwego Grabskiego, — wtrącił Wasilewski. — Z rany jeszcze niewyleczony, o kulach się przywłókł, gotowa mu się przyrzucić gangrena, ażeby jedną więcęj było ofiarą.

Przyjemne to następstwa nader wesołego karnawału! — dodał szydersko. — Nie ma co mówić, sownieje opłacona zabawa!

Nadchodzili i inni goście, a pani Soltykowa, której się serce ścisnęło nad niedolą sieroty, odeszła pocichu z oczyma łzawemi.

Wyobrażała sobie położenie biednej sieroty z brzemieniem tej śmierci ojcowskiej na sercu, osamotnionej, zrozpaczonej i litość czuła nad nią wielką.

Ci co chętnie wesolość dzielają, nie są tak skorzy do dzielenia się boleścią.

Nie знаła ona zbliska Sylwii, zaledwie parę razy spotkawszy ją w towarzystwach, a jednak pociąg ku niej czuła tak wielki, że wreszcie postanowiła, ulegając mu, bez wiedzy męża się wyniknąć, wzięwszy służącego, pójść do sąsiedniego domu i ofiarować pomoc swą i usługę.

Dobre serce długo się jej namyślać nie dało; bliskość mieszkania krok ten niejako tłómaczyła; wysunęła się więc nieznacznie.

Przed kamienicą stały dwa czy trzy powozy, we drzwiach pełno było gawiedzi zaglądającej ciekawie na lewo, gdzie leżało ciało świeżo zmarłego szambelana, około którego ludzie się jacyś kręcili.

Wahala się pani Soltykowa, czy wniść na gorę, mając myśl ofiarowania domu swego za przytułek na dni kilka sierocie, gdy ze wscho-

dów biegnąca pokazała się Habąkowska, w dosyć potarganym stroju, zdyszana i niebardzo przytomna.

Majorowa знаła panią ex-stolnikową, bo kogoż ona w Warszawie nie знаła? Postrzegłszy ją tu, zdziwiona, zatrzymała się.

Skorzystała z tego pani Sołtykowa, aby się do niej zbliżyć i spytać, czyby nie potrzebowano pomocy jakiej? czy nie lepiejby było pannę ztąd zabrać, aby jej smutnego oszczędzić widoku?

— A! niech pani hrabina sobie oszczędzi bardzo przykrego widzenia się z tą nieszczęśliwą, — zawołała majorowa. — Biedna szambelanówna ma przy sobie kuzyna, doktora i *dame de compagnie*. Z domu się oddalić nie chce, chociaż jej ofiarowano gościnność pod Blachą, na Górze, a i ja także mój domek oddawałam do dyspozycji.. Mnóstwo osób już nadaremnie próbowało ją ztąd odeciągnąć. Ani jej cieszyć, ani przemówić do niej, zupełnie prawie nieprzytomna.

Tak nagle, niespodziewana, straszna katastrofa!

Ten pocziwy szambelan zdrowszy był zrana, naraził się na cug powietrza wychodząc z kościoła!

— Więc ja jej w niczem pomocą być nie mogę? — spytała pani ex-stolnikowa.

— A! mogę zaręczyć za to! Dostąpić teraz nawet do niej niepodobna.

Chwyciła się majorowa za głowę i nadzwyczajną okazując troskliwość o panią Sołtykową, aby w tłumie tym i nieładzie, jaki w domu panował, potrąconą nie była, sama ją zaraz wyprowadziła z kamienicy.

Od majorowej więcej ani się mogła ani chciała dowiadywać ex-stolnikowa i smutna wróciła do domu.

Habakowska pożegnawszy ją we drzwiach Filarów, sama siadła do powozu, który za nią tu podjechał.

Tak samo jak u państwa Sołtyków w całej niemal Warszawie mówiono tylko o Burzymowskich. Śmierć ojca wielu usta rozwiązywała.

Wszyscy przyjaźni towarzystwu z pod Błachy tłumaczyli wypadek w ten sposób jak majorowa, jakimś wiatru przecigiem, skłonnością do apopleksyi i t. p., aby na nikogo winy nie spadała. Ogadywano nieboszczyka że jeść lubił, i w wesółm towarzystwie rad do kieliszka stawał; apopleksya otyłego, krwistego, niemłodego szlachcica, który na nią przez całe życie zarabiał, była bardzo naturalném jego następstwem.

Czy co zaszło po powrocie z kościoła między ojcem a córką, o tém nikt nie wiedział.

Sylwia weszła z nim razem do dolnych pokojów, gdzie sami z sobą pozostali dosyć długo, gdy nagle krzyknęła wołając o ratunek i znale-

ziono ją klęczącą u nóg ojca siedzącego w fotelu a już rażącego apopleksyą.

Czeżewska natychmiast posłała po lekarza, do Grabskiego, a nawet do nienawistnej sobie Habakowskiej, której pomoc w tej chwili, gdy wszyscy głowy tracili, była pożądana.

Sylwia prawie nieprzytomna nie odstępowała od ojca, odciągnąć jej od niego było niepodobna.

Grabski, któremu Zybek sam dał znać, że stary pan, jak on się wyraził, paraluszem rażony został, chociaż mu lekarze jeszcze wychodzić nie pozwalali, ubrał się natychmiast i żadna siła ludzka już go powstrzymać nie mogła, aby się natychmiast nie stawiał na miejscu.

Przyjechał o kulach, naówczas gdy już szambelan po krwi puszczeniu, oprzytomniony trochę, dogorywał.

Zobaczywszy Micia, poruszył się, mówić już nie mógł, ale mu się wargi zatrzęsły i oczyma kilka razy wskazał Mieczysławowi na córkę.

W jednym reku miał trochę władzy i gdy się Grabski zbliżył doń, chwyciwszy dłoń jego konwulsyjnym ruchem położył ją na głowie klęczącej Sylwii.

Wysilał się na wymówienie czegoś, bełkotał, lecz zrozumieć go nie było podobna. Niecierpliwiło go to widzieć, że Mieczysław począł go uspokajać, zaręczając iż na jego pomoc i usługę w każdym razie rachować może; potakiwał to,

potrząsał głową stary, i raz jeszcze chwyciwszy rękę Micia położył ją na ramieniu córki...

Chciał czegoś więcej, czego wypowiedzieć już nie zdołał.

Sylwia zachodziła się z płaczem, przerażenia i rozpacz.

Gdy stary Burzymowski doczekawszy się Grabskiego nieco się potem uspokoił, oczy mu się przymykać zaczęły, napadła go senność. Ile razy podniósł powieki, oczyma już omdlałemi wskazywał Mieczysławowi Sylwię.

Tak drżąc i nsypiając coraz mocniej, wreszcie zasnął na wieki.

Omdlałą córkę na rękach musiano przenieść na górę i złożyć na łóżku, przy którym doktor Witacek, Czeżewska i Grabski przesiedzieli dzień cały.

Stan taki w jaki ją śmierć ojca wprowadziła, opisać się nie daje. Boleść wielka dnucha łamie ciało, cierpienie moralne staje się naówczas chorobą, której symptomata nie psycholog, ale chyba lekarz odmalować potrafi.

Obok tej zrozpaczonej niewiasty na straży, stał drugi pacjent, ranny Grabski, zapominający o tem, że i on nie był całkiem panem siebie, bo mu kalectwo odejmowało siły, władze i rana groziła następstwami niebezpiecznymi.

Ile razy doktor zwrócił na to jego uwagę, odpowiadał cicho, że na pobojuwisku gorzej

bywa, a obowiązki iść powinny przedewszystkiem.

Choć z gorączką, osłabiony, kulejący i chwilkami zmuszony spoczywać aby siły odzyskać, Micio oddalić się nie chciał.

W ciągu tego dnia majorowa niesłychanie czynna, dwa razy była z raportem pod Blachą, a trzy na Miodowej ulicy.

Książę Józef wcale się nie ukazywał nikomu, jedni mówili że wyjechał do Jabłonněj, drudzy że był w Skierniewicach, nikt właściwie powiedzieć nie umiał, gdzie się ukrywał.

Wieczorem w pałacu nie było przyjęcia, a pani de Vauban siedziała z Cichocką sama.

Bocznemi wschodkami wpuszczano majorowę, która się kręciła jak fryga, biegła, nie mogła przysiąść na chwilę, nieustannie przed sobą i przed drugimi potrzebując się tłumaczyć, że *qu'elle n'y était pour rien* (do niczego nie należała)!

Rozповідаła też szeroko o wszystkich znakach ostrzegających, które apopleksyę szambelana oddawna przeczuwać dały... i t. p.

Ponieważ stan zdrowia córki nakazywał wielką ostrożność, nazajutrz pocichu zwłoki nieboszczyka przeniesiono do kościoła, a trzeciego dnia odbył się pogrzeb wspaniały, którego całém urządzeniem zajął się przyjaciel z ramienia Grabskiego wyznaczony.

On sam przykutym był do domu, nie mogąc

się poruszać dla pogorszonego stanu rany, a nie mogąc opuścić Sylwii, zdając ją na niezręczną opiekę Czeżewskiej i majorowej.

Ile razy chora odzyskiwała przytomność, pytała o Mieczysława, do niego rozkazując się odnosić we wszystkiém. Uważała go niejako za opiekuna przez ojca jej wyznaczonego.

Jednego dnia po pogrzebie, na znak szczególnego faworu swego, hrabina de Vauban, wedle swojego zwyczaju (bo tym sposobem wszędzie oddawała wizyty), podjechała pod kamienicę, posłała bilet i kazała do siebie do drzwiczek karety wywołać panią Wojską Czeżewską.

Największe panie naówczas, hołdując francuzicy dającój sobie tony królewskie, schodziły tak nieraz do jej powozu na rozmowę, nie śmiejąc delikatnej jejmości narazić na fatygowanie się po wschodach i zmiany temperatury, które jej szkodzić miały!

Wojska także musiała posłuszna zejść na zawołanie, opowiedzieć jej jak się miała Sylwia, ukłon, pozdrowienie i kondolencyę zanieść dla niej, wysłuchać westchnień i szeptów hrabin, za honor sobie poczytując, iż w obliczu całej Warszawy, zaszczytu takiej rozmowy poufniej dostąpiła!

Sylwia, staraniem troskliwych lekarzy, którzy ją na chwilę nie opuszczali, ze stanu gorączko-

wego przeszła w rodzaj prostracyi i apatyi, która zwolna miała ją do zdrowia przeprowadzić.

Tak się przynajmniej spodziewano.

Nie odstępując jej Grabski musiał tymczasowo zająć smutne mieszkanie na dole po nieboszczyku i tam, gdy mógł, odpoczywał.

Noga mu była naprzykrzoną wielce, szczególnie z powodu że ciągłego opatrywania potrzebowała.

Jednego rana doktor przyszedł do niego i stał bardziej niż zwykle podrażnionym i niecierpliwym. Zaledwie go zobaczywszy w progu, Mieczysław się odezwał.

— Kochany konsyliarzu! mówiliście mi, przypominam to sobie, że ranę by prędzej zagoić można, po cóż ją umyślnie trzymacie tak, nie dając się jej zabiżnić?

— Abyś pan później na nią nie cierpiał, — odezwał się doktor.

— Ale ja dziś szczególnie potrzebuję tej nogi, — zawołał Grabski, — ruchu swobodnego i zdrowia! Jntro niewiele mnie obchodzi! Dziś! dziś mi zdrowia potrzeba! Zlituj się doktorze, przestań myśleć o jutrze. Zaklinam cię.

Doktor przyjął to ruszeniem ramion.

— Nie godzi się tak czynić! — odparł sucho.

— Ja mam obowiązki, — począł Grabski niecierpliwie, — i ręczę wam, że nie zważając na

żadną ranę będę je spełniał, choćby się mój stan miał pogorszyć.

Lepiej więc z dwojga złego, abyście mi ją zgoili czémprędzej.

Pomimo oporu lekarza, Grabski wezwał potajemnie felczera i kazał mu ranę goić czémprędzej, bądź co bądź.

Sprzeciwiał się i on zrazu, twierdząc że się to później odezwać może, lecz pokonany nadzieją przyobiecanéj nagrody, milcząc wreszcie zgodził się na żądanie pacyenta.

Stan zdrowia Sylwii, wedle przewidywania lekarzy, acz powolnie się polepszał. Siły, przytomność, pamięć wracała, ale razem z nią smutek się zdawał rosnać.

Mówiła mało, a gdy Czeżewska lub majorowa odwiedzająca ją aż nadto często, rozpoczynały rozmowę, zamykała oczy, udawała śpiącą, ażeby jej uniknąć.

Doktor Witaczek, który był nadwornym pod Blachą, zdawał o stanie choréj raporta i on to zapewne urządzić musiał, npatrzywszy chwilę gdy się Grabski oddalił, że niepostrzeżenie, z wielkimi ostrożnościami wpuszczono płaszczem otulonego mężczyznę na górę.

Majorowa stała na straży.

Łatwo się domysleć, że nieznanym tym by książę Józef, który oddawna domagał się widzenia z Sylwią.

Zdawało mu się, że jęj przyniesie pociechę, że przyspieszy wyzdrowienie.

Jakkolwiek płochym być może mężczyzna w stosunkach z kobietami (a w owych czasach panowała w nich lekkomyślność i niesumienność największa, o czém świadczą pamiętniki współczesne) szlachetniejszy charakter musi czuć boleść istoty sympatycznej i zapragnąć jęj ulżyć.

Miłość księcia, utrzymywana i rozbudzana niemal bałwochwaleństwem przywiązaniem Sylwii, nie wygasła była jeszcze. Książę udawał oziębłego i radby był ostudzić ją, aby nie mieć sobie tęg ofiary do wyrzucenia, ale kochał ją i cierpiał na długiej rozłące. Nieszczęście jakie dotknęło szambelanównę, zbudziło w nim litść i współczucie.

Oddawna byłby w jakikolwiek sposób dostał się do tego domu, gdyby lekarz się temu ze względów zdrowia nie opierał, lękając zbytniego wzruszenia.

Naostatek doktor Witaczek zgodził się na odwiedziny te i dostanie się potajemne do domu ułatwił.

Książę szedł z mocném postanowieniem namawiania, zaklinania Sylwii, aby wracała na wieś, zapomniała o nim i starała pokój odzyskać.

W pokoju chorąg przebywszy godzinę na rozmowie, której świadkiem była zdała u okna siedząca Czeżewska, napróżno starająca się z nięj

choć słówko pochwycić. Książę wyszedł blady, zamyślony, smutny i wymknął się na ulicę niepostrzeżony.

Grabski w pół godziny dopiero potem powrócił. Tajemnica tych odwiedzin dla obcych jak najściślej była zachowana.

Czeżewska, choć z konieczności wtajemniczona, ale prawie nie zyskawszy ukłonu ani wejrzenia, oburzona była i zenistą pałała.

Czuła że schodziła coraz niżej i w domu nie liczyła się wcale, chyba za starszą sługę.

Nazajutrz gdy Grabski zapukał do drzwi Sylwii, zapytując czy mu ją wolno odwiedzić — wpuszczony, z wielkiem podziwieniem znalazł ją nie w łóżku, ale siedzącą w krześle, ubraną w suknię czarną, bladą, jakby z grobu powstałą, idealnie piękną, jak jakieś widmo z drugiego świata, ze świata aniołów smutnych.

Stał u progu niemal przerażony tą nagłą, niespodziewaną konwalescencją.

Sylwia podała mu rękę, patrząc bojaźliwie w jego oczy.

— Widzisz, — odezwała się, — muszę jeszcze żyć na utrapienie twoje, opiekunie mój! Myślałam już że wszystko skończone... ale nie — kazano żyć i cierpieć.

— Ale czyż doktor pozwolił na to abyś wstała? — zapytał niespokojny Micio.

— Nie lękaj się, mam od niego upoważnienie. Nic mi się nie stanie!

Unikając wszystkiego co by mogło jakieś przykre obudzać wspomnienie, Grabski mówił o rzeczach obojętnych, napomknął potem, że, gdy cieplejsze dni nadejdą, możeby Sylwia chciała o powrocie na wieś pomyśleć.

Drgnęła słysząc to szambelanówna.

— Już? — zapytała. — A! drogi mój opiekunie. Tak! ja wiem że powracać musimy... lecz, błagam cię, nie wypędzaj mnie ztąd jeszcze! Mnie się zdaje, że ja tu tylko jeszcze żyć mogę!

Spojrzała nań błagająco.

— Mnieby się zdawało, — rzekł Grabski spokojnie, — iż właśnie tam na wsi, wśród ciszy, zdala od tych miejsc, które mogą przykre obudzać wspomnienia — niepotrzebne — tam lepiejby ci było!

— A! nie! nie! — krótko i stanowczo zawołała Sylwia. — Ja cię proszę! Jesteś opiekunem moim, powinnam ci być posłuszną, na pozór ty mówisz rozumniej, życzysz mi dobrze, ale ja cię proszę! Daj mi — jeszcze trochę czasu!!

— Przedewszystkiem — przerwał Mieczysław, kochana kuzynko, teraz gdyś zaledwie wstała, sił nie masz jeszcze... nie sprzecajmy się o nic, odłożmy na później...

Wiedząc jak Sylwia lubi kwiaty, Mieczysław przyniósł jęj właśnie tego rana bukiet, gdy chcąc

go umieścić w wazonie, postrzegł, że w nim tkwiła już przepyszna wiązanka najśliczniejszych wiosennych hyacyntów i tacetów.

Zarumienił się zobaczywszy ją i zwrócił się do Sylwii, na której twarz rumieniec też wystąpił.

Spuściła oczy unikając zapytania, na które trudno jej odpowiedzieć było.

Grabski nie chcąc jej dręczyć badaniem, bukiet swój położył na stoliku i szybko się zaraz oddalił.

Na schodzącego na dół oczekiwała już pani Wojska Czeżewska, która teraz postanowiła była jego trzymać stronę.

— Wie pani, — rzekł do niej Grabski, — że Sylwia, dzięki Bogu, jest nad wszelkie spodziewanie lepiej.

— A tak, jest lepiej, — odparła pani Wojska, zapraszając go do swojego pokoju, — ale to polepszenie na gorsze wyjść może.

— Dlaczego? jakim sposobem? — zapytał zdziwiony Grabski.

Wojska, która w rozmowie zawsze, gdy mogła, za efektami się uganiała, zaczęła od szyderskiego uśmiechu, pokręciła głową, kazała długo oczekiwać na wystudyowaną odpowiedź, aż w końcu, gdy już dostatecznie znecierpliwiała Mieczysława, odezwała się cichuteńko, tajemniczo, ale z uroczystością wielką.

— Był tu ktoś wczoraj!!

Grabski pobladł.

— Jak? kiedy? — zapytał przybliżając się niespokojny.

— Kiedy? Nad wieczór, wówczas gdy wiadziano, że pana nie będzie w domu. Przedemną nie czyniono tajemnicy, bo mnie oszukać nie można. Byłam więc niemym i głuchym świadkiem rozmowy, z której słowo jedno nie doszło do mnie.

Był — tak jest, był, siedział tu prawie godzinę. Gdy wyszedł i ja się oddaliłam, bom nie była potrzebna, bo nie odezwiała się do mnie ani słowa, nie spojrziała nawet... Zdaje mi się, że płakała, uważałam że ktoś napominał, pocieszał i czułości unikał.

Na dole stała straż, pilnowano aby się mógł niepostrzeżenie wysliznąć jak przyszedł, ale nie ręczę, czy nie był obserwowany!

Hm! jak to pan znajduje?

Grabski milczał, oczy wlepiwszy w podłogę.

— Gdy później wróciłam do Sylwii, — mówiła dalej Wojska, — znalazłam ją siedzącą na łóżku, z rumieńcami wypieczonemi, prawie w gorączce. Poczęłam, żadnych jęj nie czyniąc wyrznięć, pytać jak się czuje? Odpowiedziała mi, że jest jęj lepiej, że jutro chce wstać, że pragnie jeszcze i potrzebuje być zdrową.

Siedziałam potem długo, sądząc że się ze mną zechce z zaufaniem rozmówić jak dawniej.

Mówiła tylko o rzeczach obojętnych — nie i nie!

Ja dla niej już żadnego nie mam waloru!

Grabski słuchał pogrążony w sobie, nie okazując Czeżewskiej, jakie to na nim czyniło wrażenie. Zabolalo go, że stosunki które za zerwane uważał, nanowo się zawiązywać zdawały. Należało mu otwarcie się o tém z Sylwią rozmówić, wahał się ze względu na stan jej zdrowia.

Wszystkie jego plany. projekty przyszłości. jakie sobie roił, znowu zachwiane były. Ta, której on nazywał się opiekunem, wyłamywała się zwolna z pod jego opieki

Domyślając się nie bez podstawy, że doktor mógł być pośrednikiem w tej sprawie, Grabski tegoż wieczora do siebie go na dół zaprosił.

— Szanowny panie, — rzekł do niego grzecznie, — nie weźmiesz mi tego za złe. jako krewnemu i opiekunowi tymczasowemu panny Sylwii, gdy go zapytam, dlaczego bez mojej wiedzy ułatwiłście odwiedziny, niewłaściwe dla chorąg, kompromitujące ją, mnie nieprzyjemne, a sądzę że i dla zdrowia pacjentki niebardzo korzystne?

Doktor na chwilę zmieszany, natychmiast swą doktorską śmiałość odzyskał.

— Wiesz pan już o tém? — rzekł. — Właśnie ja sam go o tém miałem uwiadomić.

Dla chorąg i jej uspokojenia odwiedziny te

właśnie były najpotężniejszém lekarstwem. Przekonać się pan o tém mogłeś, bo dziś wstała i jest znacznie lepiej.

— Ale nawet to chwilowe polepszenie, — rzekł Grabski, nie tłumaczy mi tego kroku.

— Jeśli pan chcesz, — odparł dosyć szorstko doktor, — rozmów się o tém z księciem. Ja oprzeć się nie mógłm.

To mówiąc zlekka się skłonił i wyszedł.

Nazajutrz go nie było, a gdy chora się przybycia domagała i posłano po niego, doktor Witczek przybycia mruczając odmówił.

— Niech sobie innego doktora poszukają, — rzekł, — ja nawykłem do podziękowań nie wymówek.

Dowiedziawszy się o tém Sylwia, wezwała Grabskiego. Była znacznie lepiej, ale podrażniona tém, że doktor, jak mówiła, grymasił.

— Proszę cię, Miciu mój, pójdź ty do niego i przyprowadź mi go koniecznie, — zawołała z uporem rozpieszczonego dziecięcia. — Żeby mi tu zaraz był. Ja od nikogo innego rady nie przyjmę, mam w nim ufność.

Spojrzawszy na zacięte usta i surowy wyraz twarzy kuzyna, Sylwia jakby się czego domyślając, dodała.

— Przyznaj się, musiałeś go czémś zniechęcić?

— Może być, mimowoli, — rzekł Grabski.

— Wiem o co ci szło, — dodała powoli, — domyślam się, powiedziano ci że ktoś był u mnie, sądziłeś że go doktor wprowadził, musiałeś mu robić wymówki...

— Nie zapieram się tego, — rzekł Grabski, — to było moim obowiązkiem.

Ruszyła ramionami.

— Tak ci się zdawało, — rzekła, — a nie wiesz że ten ktoś, którego się lękasz, jeśli się przez litość, jak teraz, zbliżył do mnie, to tylko aby mnie jak ty namawiał do wyjazdu na wieś, do pozbycia się marzeń, do stania się bardzo rozsądną i pospolitą kobietą... Jest twoim pomocnikiem!

— Być może, jeśli jest człowiekiem sumiennym i uczciwym, o czém nie wątpię, — rzekł Grabski. — Lecz, pomimo tych morałów jakie on z sobą przynosi, kochana Sylwio, sama jego przytomność niedobłą jest dla ciebie... Jeżeli chcesz być swobodną, wypędźże mnie...

Sylwii lzy z oczów pociekły.

— Miciu! — odezwała się, — jaki ty jesteś Nielitościwy! Dajże mi czas jaki się daje choremu aby wyzdrowiał, rannemu aby się zagoiły rany! Miciu!

Grabski stał milczący; Sylwia płakała.

— Miciu! — powtórzyła raz jeszcze, — ja cię proszę... trochę cierpliwości!

— Radbym z duszy być posłuszny rozkazom

twoim, ale ja — odezwał się Grabski — w tej przedłużonej kuracyi widzę tylko przeciągającą się chorobę.

Wolno ci czynić co chcesz, — dodał, — mnie sumienie nie pozwala patrzeć obojętnie na to co mi się zdaje być szkodliwém... Cierpliwość moja byłaby grzechem, nie chcę na to patrzeć, czego pochwalić nie mogę.

Pozwól mi się więc oddalić... Zostawiam cię panią twój woli. Zawołasz mnie, gdy ci będę potrzebny...

Ze spuszczoną głową, nie patrząc na niego, Sylwia dała mu odejść nie mówiąc nic.

Przywiedziony do rozpaczey prawie, Grabski natychmiast z dolnego mieszkania zabrawszy co miał, posłał po dorózkę i odjechał do domu.

Nazajutrz położyć się musiał, bo noga przygojona, zaogniła się i nabrzękła.

V.

Nadeszła wiosna, książęcy dwór z pod Blachy wybierał się już na rezydencyę letnią do Jabłonnęj.

Można to było w istocie dworem nazywać, tak po królewsku niemal żył i otaczał się książę Józef.

Oprócz mnogich zawsze gości, na których mu nie zbywało, sami domownicy niemaly orszak stanowili.

Jedną z oficyn pałacyku zajmowała pani de Vauban, której nieodstępną towarzyszką była pani Cichocka z córką Terenią, a często jeszcze któraś więcej z przyjaciółek.

W czasie pobytu pani Tyszkiewiczowej ona też miała dworek osobny i niewieścią swą a męską posługę, do której rzadki jeszcze naówczas

u nas, prawie jedyny w kraju murzyn, Zamor, stanowił oryginalny dodatek.

Dom jeden zajmował kamerdyner Brodowski z rodziną, inny plenipotent Michalowski, inny jeszcze rządzca, a w rozmaitych przybudówkach i chatkach a dworzech w parku, około dziedzińca mieścili się koniuszy, lowczy, strzelcy, kucharze z kuchmistrem francuzem JMPanem Faroc'iem, woźnice, czeladź i t. p.

Samc stajnie, cugi, wierzchowce, rozmaite zaprzęgi, konie tureckie, wschodnie, polskie i korykańskie małe, mnogięj posługi wymagały.

Trzeba też było wygodnie przy pałacu rozmieścić przyjaciół francuzów, państwo de Coudene, barona de Fontbrune, de Beaumont i innych.

Towarzyszyli księciu do Jabłonnej dla rozrywki w samotności, Rautenstrauch, Kamenecki, Tribes, Bronikowski, nie licząc przybywających z Warszawy gości, którzy często bawili tygodniami.

Książe był tu tym samym co w Warszawie, choć mniej na oku prusaków, zawsze się czując przez nich śledzonym i podglądanym nieufnie. Staral się więc być na pozór wystygłym, znużonym, do rozbawienia trudnym, potrzebującym silnych wrażeń aby się na nim odbić mogły, poruszającym się nagle i na krótko, gwałtownym czasem, lecz łatwo się uspokoić dającym.

Cieszyło go to niewymownie i uśmieszek nie-

dostrzeżony sprowadzało na usta, gdy mu opowiadano, że Hoym się o nim wyrażał przed zaufanymi.

— *C'est un homme fini, usé, dont on n'a rien à redouter.* (Jest to człowiek skończony, zużyty, którego się nie ma co obawiać.)

— Cieszy mnie nadzwyczajnie, — mruczał cichutko, — że tak dobrą mają o mnie opinię! Niech że nikt mnie nie broni! proszę!

W tej Kapui warszawskiej i Jablonnej wiódł jednak książę zawsze życie wspomnieniami wojskowemi otoczone i jakby tęsknotą do rzuconego oręża w głębi przejęte.

Tak samo jak pod Blachą najskromniejszym pewnie z pokojów pałacyku był ten, w którym on sypiał, na żelazném łóżeczku, burką okryty, aby mu się obóz przypominał. Orłowskiego szkice go ubierały, przypominające zapasy rycerskie minionych czasów, bitwy i konie.

Pocziwy gubernator Koehler, Hoym, generałowie dowodzący naówczas wojskami pruskimi w Warszawie, Pletz, Wagenfeld i Rocchetti, a nawet dyrektor policyi Tilli, mieli to najmocniejsze przekonanie, iż książę pozbył się wszelkich widoków na przyszłość, ambicyi, rycerskiego ducha i że mu szło jedynie o spokój, wygodne, ciche, błogosławione życie magnata, któremu wspomnienie tronu pokrewnego przyświecało.

Za niewinne wcale uważano upodobanie z prze-

szłości zachowane w koniach, bez których żaden pański dwór się nie obchodził.

Ci co otaczali księcia, po większej części daleko od niego rozwiązlejsi i rozpieszczeni próżnowaniem, albo wtajemniczeni w rolę jaką grać było potrzeba, potwierdzali swem postępowaniem przekonanie, iż nad rozrywkę, trzpiotowstwo i małą intrygę nie księciu więcej do życia nie było potrzeba.

Koehler pobłażał ich wybrykom, nawet gdy do starcia z oficerami załogi przychodziło, wiedząc że zalany głowom wiele przebaczać należy, boć — nie wiedzą co czynią.

I w tym roku, jak lat poprzedzających rozjechali się z wiosną prawie wszyscy. Małachowski do dóbr swoich za kordonem, inni do Karlsbadu, który już naówczas tej sławy, jaką dziś zachowuje, używał; pani Sewerynowa do Celjowa, inni panowie i panie, gdzie kto mógł i chciał.

Na ochocie do podróży z dawien dawna nam nie zbywało, gdy chciano prawa stanowić nawet, któreby od zbyt nich a próżnych wędrówek wstrzymywały.

Wypróżniała się Warszawa po burzliwej zimie, zamykały teatru. Pan Ledoux odpoczywał, a książęce ekwipaże, kuchnie, cugi, lokaje, wyciągały do Jabłonnej pod stare, piękne drzewa parku, na zielone trawniki i wiejską ciszę.

Grabski od pożegnania swojego z Sylwią nie pokazywał się u niej więcej, dogajał nogę, wracał do dawnych zajęć swoich, zamykał się w szczupłym kółku znajomych, po większej części wojskowych z 1792 i 1794 roku, dawnych towarzyszy broni.

O Sylwii wiedział tylko tyle, ile czy z rachuby jakiegś, czy przez ducha przekory, który był w jej charakterze, Wojska Czełewska mu donosiła.

Wzięła ona sobie za rodzaj obowiązku, gdy tylko mogła znaleźć wolną chwilę, odwiedzać pana Grabskiego.

Dawniej był jej antypatycznym; i on też się wzajemnością wyplacał; dziś zmienione okoliczności uczyniły ją jeśli nie przyjaciółką pana Mieczysława, to tajemnym jego sprzymierzeńcem.

On też tłómacząc sobie opozycję Czelewskiej, poruszeniem jej sumienia, bardziej był dla niej pobłażającym, chociaż z dawnych swoich pretensyj i śmieszności nie straciła nic, a może nawet przybyło jej nowych w Warszawie.

Ile razy za jakim interesem była w mieście, Wojska wstępowała zawsze do Grabskiego, niby dowiadując się o jego zdrowie, a w istocie przynosząc mu plotki o Sylwii, która wyzdrowiawszy wróciła wprawdzie do dawnych z Blachą i panią de Vauban stosunków, ale coraz mniej zdawała się z nich kontenta. Zwolna, choć bardzo zwolna

przychodziło rozczarowanie, czasem wstręty nawet i chmurki na czole.

Wojskiój zdawało się, że tam dla pozbycia się Sylwii, znowu mariaż jakiś knowano, aby nie mieć na sumieniu rozkochanój szambelanówniej, dla którój książę umyślnie się okazywał coraz chłodniejszym i widocznie jęj unikał.

Baron de Beaumont powrócił na służbę piekności, którój żaloba nadzwyczaj była do twarzy.

Młody jakiś Zatorski, podobno z za kordonu, jak utrzymywała Czeżewska, znający majątkowe stosunki Burzymowskich, zabiegał także około pięknej Sylwii, która z nim równie pogardliwie i traktując go z góry obchodziła się, jak z posłusznym baronem de Beaumont.

Wojska donosiła, że i stosunki i uczucia Sylwii zmieniły się wielce i ona sama ochłódła, smutna była i zadumana.

Wśród tego smutku przychodziły czasem krótkie błyski jakby odżywającego uczucia, ale te gasły wprędce.

Kilka razy Sylwia wspomniała Czeżewskię o Mieczysławie, nazywając go niecznośnym, iż się tak uparcie trzymał zdaleka. Zawołać go jednak nie chciała, wiedząc, że na wieś ciągnąć ją będzie.

Jakaś resztką nałogu serca, tęsknoty, może nadziei niedorzecznej trzymała ją tu jeszcze.

Zmiana jednak była bardzo widoczna.

Ostatnią razą przyszedłszy Czeżewska, mó-

wila coś o kłótni dwóch rywalów, pana de Beaumont i Zatorskiego, która groziła pojedyńkiem. Sylwia po raz pierwszy od dawna miała się śmiać posłyszawszy o nićj.

W istocie francuz czatujący na pastwę nie mógł znieść tego, aby mu kto śmiał stawać na drodze i grozić wydarciem owocu długiej cierpliwości. Młody Zatorski był téż szlachcie zawadyaka i pojedyńkowicz, jak znaczniejsza część ówczesnej młodzieży, miał przyjaciół sobie podobnych, na francuza więc czatowano, aby mu kurtę skroić.

Z opowiadań Wojskiej jakkolwiek fantastycznemi przeplatanych wynysłami, Grabski mógł wyciągnąć ten wniosek, iż Sylwia zażąda kiedyś jego powrotu i wezwie do siebie. Pytał ją więc często.

— Nie mówiła o mnie? nie pytała o mnie?

Czeżewska utwierdzała go w przekonaniu, iż chwila zwrotu była bliską; że, choć nie żądała wyraźnie powrotu Mieczysława, zdawała się tęsknić za nim i do wsi.

Kiedy niekiedy mówiła już o Burzymowie. Naówczas zaczynała płakać, bo miejsce to ojca jej przypominało.

— Jednakże, — dodawała Czeżewska, — wspomnienie księcia poruszało ją całą jeszcze, najmniejsze słówko uwłaczające mu, oburzało.

W sercu walka była rozpoczętą, lecz zwy-

ciężtwa na żadną się jeszcze nie przechyliło stronę.

Za każdym Czeżewskiej przybyciem doniesienia jej o Sylwii zdawały się dobitniej oznaczać ten stan ducha na przełomie, który powinien się być skończyć zerwaniem z towarzystwem, z miastem i powrotem na wieś, chwilę tę jednak stanowczą musiał wywołać jakiś fakt, coś, czego oznaczyć nie umiała Czeżewska i Grabski.

Gdy Blacha zaczęła się do Jabłonnęj przynosić, słabą jakąś powziął nadzieję Mieczysław, że Sylwia sama pozostawszy w Warszawie, będzie zmuszona myśleć o powrocie do Burzymowa; nie przypuszczał bowiem, aby razem z panią Cichocką i jakąś francuzką, towarzyszyć mogła pani de Vauban do Jabłonnęj.

Wprawdzie tak mała odległość dzieliła Warszawę od rezydencyi letnięj księcia, sam on tak często odwiedzał stolicę, że Sylwię mogła nadzieja widywania go zatrzymywać; ale Czeżewska zapewniała, że książę sam unikał tego.

Miłość księcia, choć trwała zawsze, choć była, jak utrzymywali wszyscy, bezprzykładnie stałą a pełną poszanowania i sympatyi dla istoty, która tak ukochać umiała, z coraz większym mieszała się niepokojem o los Sylwii, z coraz mocniejszém postanowieniem nakłonienia jej, aby się marzeń wyrzekła... Gotów był książę użyć jak najheroiczniejszego lekarstwa, aby Sylwię zrazić do

siebie, gotów był nawet spaść w jej przekonaniu z idealnych wyżyn, na których go postawiła. Im dłużej trwało uwielbienie Sylwii dla niego, i im stalszém się okazywało, tém on rozpaczał i nie pokoił się mocniej, wyrzucając je sobie. Dręczyło go sumienie. P. de Vauban uśmiechała się zlekka ruszając ramionami, nie dając rady żadnej bo wagi do jednej biednej panienki losu nie przywiązywała i inne miała w tym przedmiocie pojęcia.

Musiał się więc książę rad nie rad, mimo wstrętu jaki miał do majorowej udać do niej po radę. Habąkowska także niedobrze rozumiała poszanowanie takie i troskliwość o szambelanównę. Ona także o intrydze miłosnej i jej rozwiązaniu inne miała wyobrażenia. Nawykła jednak do stosowania się do kaprysów księcia, aby całkiem łaski jego nie stracić, musiała się godzić z jego wymaganiami.

— Wy to sobie lekko bierzecie, — odezwał się raz do niej książę, — nic dziwnego, bo lekcie byłyście i jesteście... Dla mnie to sprawa sumienia! Potrzeba ażeby wróciła na wieś, bo-dajby mnie znienawidzić miała.

Okazuję oziębłość, uciekam. nie to nie pomaga.

— Mości książę, — odpowiedziała żywo majorowa z tajonym uśmieszkiem. — Na to jest tylko jeden sposób... *Il faut se faire une douce violence*

i afiszować jakąś inną miłość, któraby ją do desperacyi przyprowadziła...

Skrzywił się książę.

— To księcia niewiele powinno kosztować, pomizgać się trochę do pierwszój lepszój, — dodała Habakowska.

— Chyba do piérwszój najgorszój, — poprawił książę, — aby ją zrazić moim złym gustem i zepsnciem.

Wiesz, że już na to jestem zdecydowany.

Majorowa śmiała się

— Wybierzcie książę, *quelque chose de piquant!* — dodała.

— Tak, — dołożył Pepi, — coś tak ostrego wybrać potrzeba, jak sér angielski, w czémby już były robaki...

Krótką tą rozmową z majorową, choć nie na pozór stanowczego nie postanowiono, miała jednak nie pozostać bez skutku. Myśl była rzucona.

Grabski wiedział już o przygotowaniach przenosin do Jabłonnój, czekał niecierpliwie na Czeżewską, która mu dać znać miała, co Sylwia w tój mierze postanowi.

Jakoż jednego rana nadbiegła swym zwyczajem z mocno wysznurowanemi nstami, które się zawsze tém silniój ściągały, im ważniejszego coś miała do oznajmienia. Niespokojna, poruszona wpadła jakby przejęta niezmiernie niezuciem jakimś, z którego ochłonać potrzebowała. Sparł-

szy głowę na rękę wypoczywała. Dyszała długo nim się zebrała na opowiadanie.

— Stało się, — zawołała patetycznie z ruchem rąk rozpaczliwym do stojącego przed nią i oczekującego Mieczysława. — Wszystkie moje przewidywania zawiedzione, zrozumieć jęj nie mogę. Któżby się był spodziewał? daje się zabrać Vaubanowej do Jabłonnęj. Jedziemy — czy ona jedzie sama, bo ja już nic nie wiem.

Grabski się rzucił.

— Tak, — dodała Czeżewska, — i owoc moich insynuacyj, moich próśb i refleksyi może być stracony. Była znacznie ostygłą, przekonywała się że książę wcale o niej nie myśli... a teraz — ja już nie wiem i nie mogę przewidzieć, co się dalej stać może...

Załamawszy ręce na kolanach, Wojska trzęsła głową.

— Czyniłam co mogłam, — dodała, — ale gdy ona co postanowi, nie ma środka jęj przekonać. To darmo!

Grabski nie mówiąc nic, słuchał przygnębiony.

— Że pojedzie to nie ma wątpliwości, — mówiła ciągle Czeżewska. — Przez dni kilka była jakąś wahającą się, niepewną, chodziła niespokojna, wrywały się jęj słowa, z których wnosiłam, że się opamięta, że do rozumu przyjdzie. Nagle, raz powróciwszy z pod Blachy, wpadła

do mnie rozweselona, szczęśliwa, i oznajmiła, że Vauban ją z sobą zabiera.

Ruszyłam ramionami, chcąc czynić uwagi, nie dała mi mówić nic. Zamknęła usta...

Czeżewska powtórzywszy po kilkakroć z najdrobniejszymi szczegółami, jak do tego przyszło, co mówiła, co czuła, jak była zrozpaczona, po długich narzekaniach pożegnała wreszcie milezącego i strapionego Grabskiego.

W kilka dni potem sam on w ulicy spotkał ekwipaż pocztowy księcia wiozący hrabinę Vauban, a w karecie postrzegł siedzącą Sylwią, która poznawszy go, rzuciła się w głąb powozu, jakby się przed wzrokiem jego ukryć chciała.

Ponieważ wszelkie sprawy pieniężne zdane były na Grabskiego, a rządca z listami tyczącymi się rachunków i gospodarstwa do niego się udawał, był więc zmuszonym Mieczysław kiedy niekiedy zajrzeć na Miodową ulicę. Najczęściej listy, papiery, pieniądze zostawiał u Czeżewskiej unikając spotkania się z Sylwią, której widok bolesne, upokarzające na nim czynił wrażenie.

Jednego z następnych dni, potrzebując też oddać przesyłkę otrzymaną z Burzymowa, a wiedząc, że nie zastanie nikogo oprócz służby na Miodowej, Grabski zaszedł na górę.

Zybek, który się śmiertelnie nudził, bo miał już téj Warszawy dosyć, co nieustannie powtarzał („Ona mi już tu siedzi!“) — i służąca przy-

wieziona z Burzymowa — byli sami. Zdziwił się nie zastawszy Czeżewskiej, która mu oświadczyła, że pupilce swój do Jabłonnęj towarzyszyć nie będzie.

— Cóż się z panią Wojską stało? — zapytał chłopca.

— A, pojechała i ta! — odparł Zybek ręką machając.

— Kiedy?

— A zaraz po panience! Przysłali po nią powóz z pod téj Blachy i liścik. Trochę się daśała, prychała, a potém słoiki swoje zabrawszy, pojechała.

Zybek śmiał się złośliwie.

— Możeby się była została, — dodał — ale ja to wiem, proszę panicza, co ją tam pociągnęło... O! ja to spenetrował!

— Naprzykład? — rzekł Grabski.

— A cóż? słowo daję paniczowi, — żwawo dokończył Zybek, — nie innego tylko że łakocie lubi, a zawsze powiadała, że tam stół choć palce oblizywać. Ona za dobrą leguminę do piekłaby się dała zaprowadzić.

Nie chcąc słuchać dalszych zwierzeń Zybka, Grabski odszedł milczący.

Upłynęło dni kilka, gdy jednego rana głos piskliwy pani Czeżewskiej dał się słyszeć w przedpokoju. Grabski sam pospieszył jęj otworzyć.

Nastąpiło wypoczywanie i wszystkie te miny

mające obudzać współczucie, które zawsze opowiadań poprzedzać były zwykły.

— Przyjechałam, wyrwałam się, — poczęła słabym głosem, — słowo daję, tylko dla pana.

— Jakże się ma Sylwia? — zapytał Mieczysław.

— Zdrowa, — ciągnęła dalej Wojska. — Ale wątpię ażeby pobyt w Jabłonnéj był jéj przyjemnym. Stojemy w oficynie razem z Vaubanową. Swoboda na wsi bardzo wielka, to prawda, pół dnia spędzamy w parku pod ślicznemi drzewami, gdy pogoda. Ale książę zimniejszy, posepniejszy niż kiedykolwiek, roztargniony, szyderski. Sylwia podrażniona, smutna, w złym humorze. Zdaje mi się, że ten nasz pobyt nie potrwa długo, a jeżeli wrócimy, to i do Burzymowa się wybierze...

Chodzi niespokojna po swoim pokoju i widocznie rozmyśla, co począć, bo to tak trwać nie może.

Pomileczawszy trochę Czeżewska dodała, zawsze z dramatycznym akcentem.

— Książę widocznie zajęty pewną osóbką... Skrzywiła się pogardliwie.

Grabski ruszył ramionami z oburzeniem i niesmakiem.

— Słowo panu daję, — paplala ożywiając się Wojska, — wszyscy tam już mówią o tém. Miłość romantyczna, posepna, melancholijna, to nie

jego rzecz, długo z nią nie wytrwa. Ta osóbką, o której mówię, daleko ponętniejsza dla takiego bałamuta niż idealne istoty!

Do Vaubanowój przyjechała francuzka pani de la Brétèche, ani bardzo młoda, ani piękna, bo nawet, zdaje się, że nigdy nią nie była, ale dowcipna, roztrzepana, umiejąca mówić bardzo paskudne rzeczy w sposób niby przyzwoity, że się ze wstydu palić trzeba, gdy się rozgada.

Od pierwszego wieczora książę z nięj oczów nie spuścił.

Co rzadko bywa, przysiadł się do stolika, żartował z nią. Plotła, widząc że go to bawi, niestworzone rzeczy, że musiałyśmy się wachlarzami zasłaniać, udając że nie słyszymy.

Vaubanowa ją zatrzymała w Jabłonněj, co dzień się słyszę dopytuje o nią książę, godzinami z nią śmieje się i dokazuje...

Sylwia na to patrzeć nie może i jak tylko ją zobaczy, wychodzi... Dworacy powiadają, że to sobie zabawka i roztargnienie bez konsekwencyi, a ja panu ręczę, iż francuzica się tak obrachuje, aby były konsekwencye! Biega za nim formalnie — bezwstydnica! Vaubanowa śmieje się kontenta, że jęj go ktoś bawi i rozchmurza.

Opisawszy cały tryb życia w Jabłonněj, ranki i wieczory, przejażdżki, przechadzki, gry i zabawy, Wojska w końcu pożegnała Grabskiego, oznajmując że końmi, któremi przyjechała, po-

wracać musi. Przyrzekła jednak najuroczyściej, że jak dotąd tak na przyszłość, trzymać będzie pana Mieczysława *au courant* tego, co się w Jabłonnej stanie.

I dni kilka upłynęły tak znowu. Grabski korzystając z ciepła wiosennego, odbywał wycieczki po okolicach, o ile mu noga dozwalała, na którą trochę kulał jeszcze.

Dnia jednego powróciwszy późno z Willanowa, znalazł na stole kartkę do siebie, ręką Sylwii nakreśloną, niewyraźnie, z pośpiechem, pod wrażeniem jakiegoś gwałtownego.

Zawierała ona następujące słowa:

„Proszę cię, jak tylko będziesz mógł, przybądź do mnie. Potrzebuję się widzieć z Tobą, rachując że serce Twe braterskie, niczem, nawet niewdzięcznością, zrazić się nie da. Przyjdź, proszę. Wróciłam na Miodową. Zastaniesz mnie zawsze, do północy nawet, bo pilno mi widzieć się z Tobą. Wzywam Cię jako opiekunna, nie odmawiaj. W Tobie jednym, dobry mój Mieczysławie, ufność pokładam.

Sylwia.“

Do północy było jeszcze daleko, zegarek jednak dziewiątą wskazywał. Grabski zawahał się z początku czy jechać natychmiast, czy do jutra widzenie się odłożyć. Z kartki wnosił, że coś nadzwyczajnego stać się musiało, że Sylwia cier-

piała i potrzebowała pociechy. Obowiązkiem było nie zwłóczyć chwili.

Na Miodowej postrzegł światło w saloniku, Sylwia sama jedna przechadzając się po nim, oczekiwała na niego.

Zobaczywszy ją, w progę stanął Grabski, tak go uderzył wyraz jej twarzy tragiczny, zboleły. Cała jej postać i ruchy gwałtowną walkę wewnętrzną znamionowały.

Zmieniła ją już była śmierć ojca, po której zwolna odkwitła nanowo, teraz był to najsmutniejszy obraz młodości. życia, kwiatu złamanego na lodydze. Czarne oczy wpadłe były głęboko, świecąc płomieniem jakimś, podsycanym gorączką wewnętrzną. Bładość mniejby może straszną wydawała się na tém lieu, niż rumieńce, które paliły policzki i rozlewały się aż na czoło.

Piękne jej rysy były jakby zmięte i zgniecione męczarnią, oddychała prędko, chwytając powietrze, jakby go jej miało zabraknąć.

Pomimo oznak tej burzy przebytą, malowała się w niej energia prawie nie kobieca, wola namiętna, niezłomna. Ból nie przyprawił ją o zemdlenie, owszem siłę w niej rozwinał nadzwyczajną.

Zobaczywszy Grabskiego posunęła się milcząc ku niemu kilka kroków i rękę mu podała. Potém obejrzała się szukając krzesła i padła na nie.

— Widzisz, — odezwała się zmuszając do uśmiechu, — powróciłam. Wszystkie biednej Sylwii wybryczki studenckie skończone, na wieki wieków. Jestem chłodna, rozczarowana, upokorzona i mam największe w świecie obrzydzenie do życia i ludzi. Zatem, kochany Mieczysławie, co mam zrobić?

Grabski chciał odpowiedzieć na zapytanie, przerwała nie dając mu mówić.

— Nie potrzebuję się spowiadać przed tobą, — dodała, — odgadniesz stan mojej duszy, boś go zawczasie przeczuwał, namawiając mnie do powrotu...

Powrót na wieś w istocie byłby lepszym, boby mi zachował choć cokolwiek złudzeń, z których teraz jestem wyzuta. Jestem rozczarowaną, wytrzęźwioną i smutną...

Brzydę się wszystkiém...

To okropna rzecz, nie móżd nawet posilić się kłamstwem.

Co dalej? ja doprawdy nie wiem, obojętne mi wszystko.

Spojrzała na Mieczysława; ten stał ze współczuciem patrząc na nią.

— Smutne jest życie, gdy ani kochać, ani szanować nie można, ani uwierzyć w nic, i w końcu o sobie samą zwątpić trzeba... — mówiła cicho. Umrzeć na zawołanie niepodobna!

Uśmiechnęła się.

— Cóż tu począć?

Znowu Grabski chciał się odezwać, przerwała żywo.

— Od śmierci ojca zaczęły się moje strapienia i rozczarowanie. Ty jeden naówczas byłeś mi dobrym bratem, inni radzi się byli mnie pozbyć. Byłam im ciężarem tylko... Powinnam była zawczasu to widzieć i — oddalić się. Nie miałam siły...

Teraz, choć siły nie mam do niczego, lecz zdobyłam przekonanie, że — ludzie nawet najpiękniejsi są istotami jeśli nie pogardy to litości godnymi... Aniołów nie ma, a ja w nich wierzyć chciałam!! Byłam dzieckiem zadługo, kochany Mieczysławie, lecz, na teraz rękę ci — wszystko skończone!! wszystko!

Podniosła oczy ku niemu.

— Co mam począć z sobą?

Grabski, który słuchał i milczał pogrążony w myślach, odezwał się nareszcie, starając być jak najchłodniejszym.

— Jeśli żądasz mojej braterskiej rady, nie mam innej nad tę, jaką dawałem wprzód.

Jedźmy ztąd jak najprędzej, opuść Warszawę, powracaj na wieś, staraj się o przeszłości zapomnieć, wspomnienia tych dni tu przebytych pogrzebać na zawsze. Wierz mi, nie ma nic nieśmiertelnego na ziemi, nawet boleść umiera. Zacierają się wszystko, zapomina, przechodzi...

— Tak, — przerwała Sylwia, — wszystko przechodzi, nie nie powraca! niestety... Młodości dni stracone... i marzenia trzeba pożegnać na zawsze... Ty, dobry mój Mieczysławie, coś mnie niegdyś chciał i starał się ustrzedz od czarów i rozczarowania, ty, któregom ja nie umiała ocenić rad i serca dla mnie, przebacz mi! Wiem ile cierpiełaś dla mnie...

— Nie mówmy o tém, — przerwał Mieczysław, — radźmy o sobie. Jedziemy na wieś?

Sylwia potrząsnęła głową.

— Mówiłaś mi przecie, że cię już tu nie nie wiąże? — zapytał.

— Nie, oprócz tego że wybór miejsca jest mi obojętnym — a na wsi??

Nie dokończyła.

— Ale pobyt w mieście ze wszystkich względów niewłaściwy. Niepodobna uniknąć niepotrzebnych i dziś ciężycie mogących stosunków! — zawołał Grabski.

Sylwia głową potrząsała.

— Nie rozumiesz mnie, — odczuwała się. — Życie potrzeba umieć skończyć, gdy się go porządkować nie umiało... Moje postanowienie jest stanowcze i nie od dziś powzięte. Mówiłam to sobie, iż — od świata, który mi obrzydl, uciekać muszę. Wstąpię do klasztoru...

Grabski rzucił się ku niej gwałtownie, chwytając ją za rękę.

— Sylwio kochana! to postanowienie gwałtowne i gorączkowe uczyniłoby cię nieszczęśliwszą jeszcze, gdybyś je wykonać miała. Nie jesteś stworzoną do życia klasztornego, nie wytrzymałabyś w niém. W chwili rozdrażnienia powzięłaś tę myśl, przeciw której protestuję.

— Nie, kochany Mieczysławie, — odparła chłodno Sylwia, — z myślą tą chodzę od śmierci ojca, noszę się z nią, żyję nią. Jest to jedyny koniec możliwy, który mi da spokój pożądaný.

— Mylisz się, — rzekł Grabski. — Postanowienie to będzie fałszywie tłómaczoném, każe się domyślać jakichś uczuć, które, spodziewam się że wygasły. Ty sama nie znasz klasztoru tylko z książek...

— Przepraszam cię, — przerwała szambelanówna, — nymyślnie byłam kilka razy u Wizytek, za tym progiem, który one, raz go przestąpiwszy gdy suknię obloką, przysięgają nie przejść już nigdy, chyba w trumnie. Widziałam ich życie...

— Widziałas jego stronę zewnętrzną, — zawołał Grabski, — aleś zbadać go nie mogła. Przedstawia się ono jako port spokojny, ale do niego trzeba przyjść z sercem nierozkołysaném lub ukojoném, w wieku innym. Ty sama nie znasz jeszcze siebie.

Sylwia zamilkła nieco, lecz widać było że trwając przy swoim nie chciała się dać przekonać, a spierać się też nie miała siły ani ochoty.

Mówili jeszcze, a było już po dziesiątej. gdy Zybek drzwi otworzył i jak piłka wtoczyła się mała, okrągła pani majorowa. Przybycie jej tak późne kazało się domyślać, że wykomenderowana była na zwiady.

Sylwia zmarszczyła się cofając na widok jej w głąb salonu, Grabskiemu dając znak, aby nie odchodził. Majorowa obejrzawszy się, zobaczyła dopiero gościa, który jej nie był na rękę, bo skrzywiła się nieco, ale niewiele nań zważając podbiegła do Sylwii.

— Przejeżdżając Miodową, zobaczyłam światło w salonie! Co za sinrpryza! jaka radość dla mnie! nie mogłam się oprzeć chęci uściskania cię... Na długoż do miasta?

Sylwia cofając się ciągle, odpowiedziała zimno.

— Prawdopodobnie zostanę tu.

Parę razy spojrzała Habąkowska na Mieczysława, jakby go wzrokiem odpędzić chciała, ale widząc że się nie rusza, przystąpiła do Sylwii.

— *Chère adorable!* słóweczko w twoim pokoju! bo widzę, że się tego pana nie pozbedziemy...

Zawahawszy się nieco Sylwia dała znak oczyma kuzynowi aby nie odchodził i wprowadziła podskakującą Jutkę do swojego pokoju. Załedwie się drzwi zamknęły za niemi, gdy Habąkowska, bystro spoglądając na Sylwię, poczęła.

— *Quelle mouche Vous pique?* Cóż znaczy to nagle opuszczenie Jabłonnég? Wszysey są zdzi-

wieni! zaniepokojeni! O cóż to idzie? Czy ci się ta Bretesza tak niepodobała? Prawda, że jest bardzo złego tonu, ale ona długo tam miejsca nie zagrzeje, a tymczasem bawią się nią jak pieskiem lub lalką!!

Zimno wysłuchiwała tych słów Sylwia, wpatrując się takimi oczyma w majorowę, że ta wzrokiem jęj zmieszana była widocznie. Traciła śmiałość i w końcu splątawszy się, dokończyła cicho.

— Vaubanowa miała fantazyę ją zatrzymać!

— Wszyscy mają fantazyę, — odparła Sylwia, — a nikomu ich za złe mieć nie można. Otóż i ja mam fantazyę siedzieć tu, albo wyjechać gdzieindziej...

— A nas chcesz osierocić? nas, cośmy cię tak wszyscy kochali? — żywo szeptała majorowa głosem zimnym. — Prawdziwie, to niewdzięczność! Cóż przecie myślisz? niech wiemy przynajmniej!

— Ale ja sama dotąd nic jeszcze pewnego nie postanowiłam, — odparła Sylwia obojętnie, — i właśnie dlatego ściągnęłam tu mojego kuzyna i opiekuna.

— Na opiekuna zamłody, — przerwała z małym przekazem majorowa.

Nie było odpowiedzi.

— Więc — zmieniając głos dodała Habąkowska, — nie mamy się cię spodziewać? Byćże to

może? Maż ten kaprysyk ładnej Sylwii być nie-
odwołalnym?

Szambelanówna nie raczyła nawet odpowie-
dzieć, dawała do zrozumienia majorowej, że ją
nudziła i że pozbyćby się jej chciała. Habąkow-
ska nie ustępowała.

— Ale, *chere Silvie!* pozwólże nam co cię tak
kochamy, wiedzieć przynajmniej, co myślisz? co
postanawiasz? Czy uszczęśliwisz kogo? Beau-
mont szaleje za tobą, o tém zapewniać nie po-
trzebuję, Zatorski kocha się rozpaczliwie i gotów
cały świat mordować dla twych pięknych oczu!
A może ten opiekun *chevalier de la triste figure*
zostanie szczęśliwym wybranym?

Sylwia słuchając przeszła takim wzrokiem
majorowę, że ta się mimowolnie cofnęła prze-
straszona.

— A! nie gniewajże się! — zawołała śmiech
udając i wesolość.

— Nie mam ochoty do gniewu, ani powodu,
dziwuję się tylko — zbytniej o los mój troskli-
wości...

To mówiąc szambelanówna powiodła ręką po
czole, jakby chciała dać do zrozumienia, że ją
głowa bolała i dodała zaraz.

— Żegnam panią, potrzebuję odpoczynku.

Nagle myśl jakaś jej przyszła i żegnając już
majorowę zmieszana nieco, zatrzymała ją za
rękę.

— Byłaś pani dla mnie w ciągu pobytu mego w Warszawie tak dobrą i grzeczną, iż mi za zle nie wezmiesz, gdy sobie pozwolę „przy rozstaniu“ (słowa te wymówiła z prynciskiem) ofiarować jęj małą pamiątkę.

Habakowska nawykła do odbierania pamiątek, uśmiechnęła się zaambarasowana, gdy Sylwia szybko ze stolika dobywszy pudełko, w którym leżało kosztowne kolie ametystowe, nieraz podziwiane przez majorowę, złożyła je w jęj ręce. Uścisku, którym obdarzona chciała się wywdzięczyć za tak przyjemną dla nięj niespodziankę, Sylwii udało się uniknąć.

— Więc — istotnie — chcesz nas porzucić? opuścić? — zapytała majorowa już się zabierając odchodzić.

— Tak jest, — szybko dokończyła szambelówna, — od jutra już mnie tu nie ma dla nikogo.

Mileżąca wysunęła się majorowa z sypialni, przemknęła ledwie głową skinawszy Mieczysławowi przez salon, i wyszedłszy do sieni, zawróciła jeszcze do pokoju Wojskięj.

Czeżewska siedziała w krześle dotąd nierozebrana, bo wiedziała o przyjęciu Mieczysława. Nie spodziewała się prawdopodobnie wizyty majorowej, z którą od niejakiego czasu stosunki były bardzo oziębione. Nieco zdziwiona podniosła się z krzesła na widok jęj, gdy Habakowska,

która już swą trzpiotowatość i gadatliwość odzyskała, poczęła od progu.

— Przychodzę się pożegnać, bom od Sylwii dostała odprawę!! Więc jedziecie? opuszczacie nas? Powinnaś mnie za to podziękować, — dodała cicho z tłumionym śmiechem.

Wiem żeś sobie życzyła uwolnić się ztąd, ty i pan opiekun. Wiedzieć żeście szczęśliwy rezultat nie komu innemu jak mnie winni.

Wojska słuchala z uwagą natężoną. Majorowa naprzeciw niej usiadła i pochyliwszy się poufnie szeptała.

— Książę dawno sobie życzył tego, żeby szambelanównę wywieść ze złudzenia! Żenić się z nią przecie nie mógł, a nadto był sumienny, aby gubić dziewczę, które się w nim tak szalenie kochało. Potrzeba było całą komedję ułożyć, ażeby raz Sylwia miłość tę sobie wyperswadowała...

Podyktowałam sprowadzenie wielkiego lotra francuzicy, la Brétèche, która swoją rolę (nie wiedząc o niej) wyśmienicie odegrała. Książę niby się nią zajął niezmiernie...

Umieliśmy tak schadzki księcia z nią urządzać, aby byli podsłuchani... La Brétèche z przyjemnością napawała się czułościami księcia, odpowiadając na nie z werwą i dowcipem. Sylwia wreszcie mogła się naocznie przekonać, iż książę był zajęty i jeśli nie rozkochany, to zaintrygo-

wany i roznamiętniony, i w ten sposób zupełne rozczarowanie uleczyło ją z téj passyi, której inaczej nie byłoby końca.

Wojska słuchając spoglądała na majorowę i potrzasała głową.

— Jakże, nie dziękujesz mi? — dodała Habakowska.

— Wolałabym, — pedantycznie odparła Wojska, — aby rozczarowanie mojej drogiej Sylwki wcześniej było przyszło, by nie ucierpiała tyle...

— Dokądże jedziecie? na wieś? — wypytowała majorowa.

Czeżewska ruszyła ramionami.

— Wątpię, — rzekła, — ona mówi o klasztorze!

Habakowska tak była zdziwiona usłyszawszy to, że w ręce klasnęła, nieprzytrzymane pudełko z naszyjnikiem wysunęło się jęj, padło na ziemię, otwarło i ametysty zaświeciły na posadzce.

Majorowa zaczerwieniona schyliła się podnosić, ale już oko bystre Czeżewskiej poznało go i usta uśmiechnęły się szydersko.

Wskazała na klejnoty, mówiąc z przekąsem.

— Nieboszczyk Wojski dla żony zapłacił za niego z zapięciem osiemset dukatów. Winszuję!

Nie nie odpowiadając, skłopotana majorowa poczęła ją ścisnąć serdecznie.

— Żegnaj cię, moja droga! Wierz mi, jeżeli wam nie tak usłużyła, jakbym była chciała,

to nie moja wina. Trochę mniej romansowości, a więcej praktycznego zmysłu, rzeczyby się były daleko lepiej złożyły. Ale któż jest panem swojego charakteru...

Czeżewska wyprowadziła ją do progu, szybkim kroczkiem, tuląc podarek pod pachą, Hąbarkowska zbiegła ze wschodów i karetka jej zaturkotała na bruku.

Sylwia po wyjściu majorowej wróciła do salonu.

— Jutro, — odezwała się do Mieczysława, — jutro potrzebujemy się widzieć jeszcze, aby wszystko skończyć, rozporządzić, zdać i polecić tobie.

Pojutrze chcę już być pod tym dachem, w tych murach, co mnie na wieki od świata oddziela.

— Kochana kuzynko, — odważył się wystąpić Grabski, który miał czas do namysłu. — Stanie się jak zechcesz, ale ja jestem przez ojca twojego naznaczonym opiekunem, uznajesz to czy nie?

— Tak jest! — cicho szepnęła Sylwia.

— W imieniu ojca twojego mówię, — kończył Grabski. — Żądasz wstąpienia do klasztoru, nie sprzeciwiam się, pod tym jednym warunkiem, że między światem a furta zakonną rok, pół roku spoczniesz i namyślisz się na wsi...

Żądam tego od ciebie w imieniu ojca — wymagam, i nie odstąpię... Masz do wyboru, albo się oprzeć, w takim razie ja zrzekam się opieki

i ustępuję, lub usłuchać mój rady, prośby, błagania...

Mieczysław złożył ręce i ukląkł przed nią, Sylwia zapłakana, wahala się widocznie.

— W imię ojca twojego, — powtórzył Micio.

— Każesz mi męczyć się dłużej! — zawołała zakrywając oczy.

Chwila długiego milczenia nastąpiła, w czasie której Mieczysław na klęczkach pozostał. Sylwia jeszcze łzami zroszoną podała mu rękę, mówiąc słabym głosem.

— Będę ci posłuszną.

Krzyknęła zlekka cofając się poczuwszy, że Grabski ją w nogi całował.

— O, ty mój dobry opiekunie! — dodała wyciągając ręce obie, — jaki ty jesteś nielitościwy!

Nie mówili już więcej, Grabski wzruszony szepnął tylko, że przenocuje na dole, aby być na jej rozkazy i usunął się natychmiast.

Długo stała szambelanówna jak wkuta do posadzki.

Szmer jakiś musiał jej przypomnieć Czeżewską, zawahawszy się nieco poszła szukać swęj staręj przyjaciółki.

Ta już się nie spodziewając spóźnionych odwiedzin zajęta była właśnie zwijaniem papilotów na resztee włosów uzupełniającęj stojącą na postumencie peruczkę, gdy ujrzała wchodzącą swą wychowanicę.

— Kochana Wojska, — poczęła Sylwia stając przed nią, — przyszedłam ci ze wstydem oznajnić, że musiałam uleść naleganiom Mieczysława... Nie pozwala mi schronić się jakemu chciała do klasztoru...

Każe mi jechać na wieś!

Wojska rzuciła się ku niej z radosnym okrzykiem.

— Cieszy was to? — podchwyciła Sylwia, — mnie to męczy i niepokoi; lecz nie spodziewam się, aby mojem mocnem postanowieniem zwłoka ta zachwiać mogła...

Jedziemy na wieś! moja Wojska, — dodała ręce składając, — przyszedłam cię prosić, abyśmy jak najprędzej wyjechać mogły. Rozkazuj, dysponuj, rób co chcesz. Każ pakować w nocy... jedźmy!

— Natychmiast! — krzyknęła Wojska chwytając za peruczkę, bez której się nigdy nie pokazywała. — Kochana Sylwio! będziemy mogły jechać jutro, nawet rano!!

Ależ przecie nie pojedziemy same? Pan Mieczysław towarzyszyć nam będzie.

— Nie wiem, — odparła Sylwia. — Jestem pod jego rozkazami. Zrobi co uzna właściwem.

Tylko prędko, prędko, Wojska moja, uciekajmy ztąd! proszę!

I chwyciwszy się za głowę Sylwia wybiegła z pokoju.

Przez całą noc nikt oka nie zmrużył w kamienicy; począwszy od Zybka do Mieczysława, który pomagał do zbierania i pakowania rzeczy, biegali wszyscy. Głos pani Czeżewskiej rozlegał się na wschodach, po pokojach, w dziedzińcu. Wytaczano powozy, smarując je przy latarniach, najęta doróżka woziła to Zybka, to Grabskiego do jego mieszkania, a nadedniem Czeżewską po sklepach, w których nieopłacone pozostały rachunki.

Sylwia zamknięta w swoim pokoju nie pokazywała się wcale.

Dobry już dzień był, gdy na palcach wchodząca do niej Wojska, która przez całą noc nie zmrużyła oka, znalazła ją uśpioną, z przyschlęmi łzami na twarzy, bladą i jakby wielkim bólem zastygłą.

Przebudzona powstała oglądając się i nie poznając gdzie jest, ani co się z nią dzieje.

— Do drogi wszystko prawie jest gotowe, — odezwiała się zbliżając do łóżka Czeżewska.

I przechyliwszy się nad nią dodała.

— Pan Mieczysław nam towarzyszy, odprowadza... mówił, że aż do Burzymowa...

Nie rzekłszy na to nie szambelanówna, z jakąś pokorą posłuszną, jakby się własnej wyrzekła woli, poczęła wstawać, dając z sobą robić Wojskiej co się jej podobało.

Z tém samém milczącym poddaniem się roz-

kazom opiekuna, ubrała się do podróży, i na pozór spokojna gdy się powozy zatoczyły siadła z Czeżewską i służącą, skryła się w kąt, zapuściła na oczy zasłonę i pozostała nieruchomą.

Wiemy że droga, która wiodła do Burzymowa, prowadziła na Jabłonnę. Grabski pamiętał o tém i postanowił ominąć ją pobocznemi, aby Sylwii przypadkiem jakim nie narazić na przykre spotkanie, na przypomnienie miejsc i osób o których powinna była jak najprędzej zapomnieć.

.

VI.

Prześliczny dzień był wiosenny.

W naszych tylko krajach posuniętych ku północy, wiosna czasem tak piękną być umie.

Są ziemie co jej nie mają, są inne w których wkrada się niepostrzeżona; u nas tylko jest to dramat wielki przebudzenia natury. Kortyna się podnosi, ptasia muzyka gra uwerturę, słońce wychodzi z za chmur, wczoraj jeszcze skorupa zimy pokrywała trupią ziemię, dziś królowa wiosna panuje i rzuca pierwsze kwiatki po tryumfalnej swój drodze.

Jeżeli kaprys jaki matuchny natury (która umie, jak wszystkie panie, bywać kapryśną) nie przerwie tego dramatu woni i zieleni śnieżnicą, gradem i wiatrami zimnemi, wiosna się rozwija, rozkwita, rozpęka tak, że nawet najbiedniejszy

człek, co wyszedł w pole z chlebem suchym, ościstym straszego przednówka, raduje się królowej wiosnie i życiu!

W końcu XVIII wieku, który wyznawał boginię Rozumu i bóstwu Natury cześć oddawał, wiosna też była czczoną, śpiewaną, obchodzoną niemal uroczyście.

Napawano się nią po pięknych parkach, przy posągach i ołtarzach wznoszonych Miłości, Przyjaźni, Wspomnieniom, rozmaitym allegorycznym istotom rzeźbionym z kamienia, ale sercu nieznanym.

Jest rzeczą pewną, że wieki, w których uczucia istotnego jest najmniej, najskłonniejsze są do chorobliwej sentymentalności.

Rousseau, którego dzieci chowały się w szpitalu, wdychał do natury i idealnego bytu na jej łonie. Voltaire handlujący zegarkami i pochlebstwy, pisał zarazem tragedye pełne najwznioślejszych sentymentów, z których się gdzieindziej wyśmiewał.

Nigdy tyle o sentymentach nie prawiono jak naówczas, gdy się starano z nich świat wyzuć i ostudzić.

W Jabłonie też dewizy, rymy, zabawy, rozmowy tchnęły sentymentami. Wszystkie te panie co miały swe atekty jak sukienki, lubiły prawić o stałej miłości, o poświęceniu bez granic, o bohaterach serca. A żyło się sobie dlatego nie

kusząc o doskonałość i ideały, jak Bóg dał, i nikt nikomu z tego nie czynił wyrzutu, bo — grzeszyli wszyscy.

Trzy czy cztery dni minęły w słodkiem upojeniu wiosną, po wyjeździe nagłym Sylwii.

Ślicznego jednego poranku właśnie kawiarnia na dole w oficynie, w której gospodarował Brodowski w białym fartuchu, miała się otworzyć dla gości, i widać było z oficyn, ze dworków, z parku ściągające się męskie towarzystwo.

Niektórzy nieśli z sobą długie cybuchy, z których po kawie lub czekoladzie palić było zwyczajem; dla innych przygotowane stały fajki w samą kawiarnię!

Pp. Fribes i Pokutyński już weześniej od innych przyszedłszy, bo tu każdy gdy chciał na swoje śniadanie przybywał, popijali kawę, dziwiąc się, że dotąd byli sami.

— Dziś bo jakoś wszyscy zaspali, — mówił szambelan, — prawda że wczoraj faraon zadługo ich zatrzymał.

— Książę podobno znowu zbankował francuza, — odezwał się Fribes, — a dobrze mu tak, niech się nie porywa...

— Nasz książę bo ma nadzwyczajne szczęście i to we wszystkim, — odezwał się Pokutyński, który fajkę nakładał z osobliwszém staraniem, a Zamor mu już do niej węgiel żarzący trzymał pogotowiu.

— I przysłówie kłamie gdy o niego chodzi,—
rozśmiał się Fribes, — postawi *Va-Banque*, prawie
zawsze zagarnie, spojrz na kobietę, nie ma
takięj któraby mu się oparła i choć serca nie dała.

Szambelan się obejrzał dokoła.

— Pewnie nikt tak księcia nie kocha jak
ja, — rzekł, — ale ta historia szambelanównęj,
choć on niewiele winien, zawsze mi się nie po-
doba...

— Zmiłuj się! — zawołał Fribes, — on nie
winien nic! a nic!

— No, tak! ale z początku, — rzekł Poku-
tyński, — książę nieopatrznie dał jęj poznać, że
mu się podobała. W główce się biednęj zawró-
ciło! Odbolała to srodze!

Omoknął szambelan z fajki, która zgaśnięciem
groziła.

— Dajmy już temu pokój! — odezwał się
Fribes. — Kto tam wie ile zawinił książę, a i on
tęż bolał i boleje! Ja, powiadam ci szambelanie,
że miłość owocem jest smacznym, ale po nim
oskoma zawsze zostaje.

— A, jak Boga kocham, Fribes! — szepnął
Pokutyński, — terazniejsza passya księcia niepo-
jęta! — I splunął. — Gdyby ta Bretesza do mnie
starego chciała robić słodkie oczy, jabym dra-
pnął!!

— O! o! — zaczął przedrwiwając Fribes. —
Szambelanie, coś mi to wygląda na zielone wi-

nogrona... Bretesza! ha! kobiecina z szalonym temperamentem! jak angielskie konie! książę ma gust i pewne zasady... Co stanowi w życiu smak? umiejętność posługiwania się kontrastami... Po romansie platonicznym, chłopskie zaloty, *et vice versa!*

— Ona ma blisko czterdziestówki! — ciągnął dalej Pokutyński, — pod oczyma sińce. Przy świecach ledwie błyszczy i to resztkami — Pfe!

— No, ale kontrast po świeżych twarzyczkach, właśnie! — dodał Fribes. — *C'est piquant!*

Pokutyński tak pracował nad rozpaleniem fajki, iż odpowiedzieć nie mógł.

— Cóż się stało z szambelanówną, że jej nie widać? — spytał Fribes.

— Właśnie że nie wiem, i jestem niespokojny, — rzekł Pokutyński. — Znikła jakoś nagle, a ostatnich dni chodziła smutna i zniechęcona, aż mi jej żal było.

— Przecież! nie się jej nie stanie! — odparł pierwszy, — panna piękna, rozumna, dowcipna i bogata!

— Ale dziwnie samowolna i energiczna, — dorzucił szambelan.

— To tylko przyszłemu małżonkowi może być groźnem, — rozśmiał się Fribes, — a dla niej pewnie z tém lepiej. Energia nikomu, nawet kobiecie nie szkodzi. Pewnie na wieś musiała powrócić?

Na to pytanie Pokutyński ramionami ruszył, obejrzał się, książę nadchodził właśnie w haftowanej złotem aksamitnej czapeczce na głowie, dosyć już wynoszonej, a zapewne od dawna mu służącej, pięknych rączek pracy. Mówiono, że to był dar pani Cz..., której książę długo pozostał wiernym.

Pepi twarz miał znużoną, bladą — poziewał.

Zobaczywszy Pokutyńskiego odwiódł go nieco na stronę.

— Nie słyszałeś co nowego? z Warszawy? — zapytał patrząc mu w oczy.

— Dotąd nie mamy żadnych nowych wiadomości, — odparł szambelan, — ale sądzę, że dziś by majorowa przyjechać powinna, a z nią zapas plotek na długo...

— Myśmy tu i tego głodni, — odparł książę, cisza głucha, a gdy się do miasta nawykło...

Nie dokończywszy odszedł książę.

Goście napływali zewsząd, witając się przed oficyną i pośpieszając na śniadanie.

— Dzień dziś jakby stworzony na spacer w lasy i podwieczorek na murawie! — odezwał się Kamenecki. — Co za powietrze balsamiczne! jaki zefirek przyjemny!

— Trzeba jaką eskapadę ułożyć koniecznie! — dodał Rautenstrauch. — Damy powozami, my konno.

W tém na gościńcu ukazał się powozik, który

dwa zmęczone konie ciągnęły. Nadchodzący do kawiarni zwrócili nań oczy.

— Do Jabłonnój czy nie?

Zaczęto się odzywać.

— Do Jabłonnój! — wołali jedni.

— Nie! gościńcem pojedzie dalej! — powiadali drudzy.

Angloman Fribes ofiarował trzymać zakład, że nie do Jabłonnój zmierzał powóz, ale nikt stawiać z nim nie chciał; a w chwilę potém miejska karetka opylona, zawróciła w dziedzińiec.

Wyszli naprzeciw ciekawi panowie dowiedzieć się kto przyjechał.

Karetka zatrzymała się przed oficyną, w której mieszkała pani Vauban i — kobieta z niej wysiadła.

— Ani chybi to majorowa! — zawołał Pokutyński.

— Czy sama?

— Sama jedna!

Przybyła znikła była już we drzwiach oficyny.

Książe, mimo że go usiłowano rozbawiać i zarzucano pytaniami, roznerwowany był, znudzony, milezący. Wypił prędko swoją kawę, zapalił fajkę i pominawszy żywo rozprawiających o koniach, poszedł do oficyny.

Pani Vauban o téj godzinie nie była jeszcze

widzialną. Przybyłej majorowej ukazano pokoi, w którym się z pyłu otrzepać i przebrać mogła.

Zaledwie wszedłszy do niego zrzuciła woal z głowy, gdy wszedł książę. Spojrzenie na Habąkowską bystre, mogło go przekonać, że z niebardzo dobrym przybywała humorem.

— *Eh bien?* — zapytał lakonicznie.

— Prawdziwie nie wiem, co mam księciu powiedzieć, — poczęła majorowa, poprawiając ubranie. — Z tego com słyszała i widziała wiem tylko, że myśli opuścić Warszawę. Zupełnie jest uleczoną ze swęj passyi, ale razem jakąś zniechęconą do życia, do ludzi, i Czeżewska mi powiedziała, że chce wstąpić do klasztoru.

Książę drgnął, ale widać było że nie wierzył.

— *Pas des plaisanteries!* — odezwał się seryo.

— Wcale nie żartuję, jest to bardzo prawdopodobne, — dokończyła Habąkowska. — Gdym z nią mówiła, a przyjmowała mnie z widoczną niechęcią, czuć w niej było rozdrażnienie, zwątpienie, tak że mi się jēj żal zrobiło...

Pepi stał, usta mu się nieco skrzywiły, brwi namarszczyły, popatrzał w ziemię.

— Byłaś więc u niej? widziałaś się? — spytał.

— Na chwilę tylko... — mówiła Habąkowska. — Zastałam u niej kuzyna Grabskiego, namarszczonego, ją nadąsaną, milczącą tak, że ledwie mogłam na kilka minut wyprosić do drugiego pokoju.

Tu pożegnała mnie tylko, oznajmując, że najtrzy nie będzie już dla nikogo w domu. Cześwska zaś pod sekretem powiedziała mi, że chce nieodmiennie wstąpić do klasztoru...

Ruszył ramionami Pepi.

— Tobv było — szaleństwo! — zamruczał.

— Szkodaby jój było za kratę! — westchnęła majorowa.

Zamyślony stał książę czas jakiś, nie mówiąc już nic, zwrócił się ku drzwiom i w sieniach postawiwszy zgasłą fajkę, sam wszedł na wschody do mieszkania pani Vauban.

Przybycie majorowej obudziło powszechną ciekawość, której ona wcale nie miała ochoty zaspokoić.

Przyjechała zmęczona, w złym humorze, księciu przywiozła wiadomość nieprzyjemną, i co się jój bardzo rzadko zdarzało, była w usposobieniu kwaśném, nadąsana, niekontenta z siebie. Prawda że miała do tego powód słuszny, jeden z białych niegdyś żabków na przodzie chwiał się tak, jakby był na wylocie.

Wszystko to razem czyniło ją tego dnia nieznośną.

Spojrzenie w zwierciadło zwiększyło jeszcze zły humor, bo się przekonała, że była bardzo żółtą tego dnia.

Zabierała się już, dobywając z kieszeni roz-

maitych słoików, do naprawiania cery, gdy w progu ukazał się Pokutyński.

— Nie — przyj — mu — ję! — krzyknęła tupiąc nogą. — Rozumie pan! Nie — przyj — mu — ję!

— Mnie! starego!

— Nikogo!

— Oprócz mnie jednego! przez miłosierdzie! piękna majorowo!

— Prześliczny szambelanie! proszę wychodzić i drzwi zamykać... .

— Ale! ale! pięknym paniom kapryśnym zwykło się gwałt zadawać, — rzekł wkraczając Pokutyński. — Zlitujże się nad spragnionemi! Miłosierdzia, piękna majorowo! Co się stało z szambelanówną?

— Z jaką?

— Z Burzymowską.

— Przecież ja jęj niańką nie jestem! Nie wiem!

— Majorowo! jak żyję takem cię okrutną nie widział. Byłem zawsze tego przekonania, że serce masz litościwe...

— Przestanieś pan? — Pogroziła z gniewem Habąkowska. — Śliczna pochwała dla kobiety! Serce litościwe! To sarkazm!

— Zawzięłaś się dla mnie być okrutną, — mówił złośliwy szambelan idąc bez ceremonii do

pokoju, — okrutną teraz, gdy cię doświadczenie nauczyło, że litość nadwiera reputację!

— Jesteś impertynent, bezwstydnym!

— Całe życie mi to mówią, — odparł Pokutyński, — a ja uwierzyć temu nie mogę. Nie czuję się do tego!

Majorowo! chcesz się pozbyć aby rozpocząć tualetę, mów coś przywiozła?

— Ale! nie nie wiem! nie nie przywiozłam oprócz siebie... i wiązki siana za karetą, którą furman przyczepił na złość mnie...

Wiązkę tę siana mogą szambelanowi ofiarować!

Dygnęła mu.

— Rozumiem, masz mnie za osła, — rzekł spokojnie Pokutyński, — ale, moja dobrodziejko, woźnica nie dla mnie ją przeznaczał. Objadać nikogo nie chcę.

Wtém weszła prędko pani Cichocka. Pokutyński stał jeszcze.

Kobiety zaczęły w kątku pokoju szeptać coś z sobą, ale ucho szambelana trochę przytępione, z téj szybkiej wymiany wyrazów pochwycić nie nie mogło.

Zapomniano tak o nim, że w końcu pokłoniwszy się z ironią Habakowskiej wyjść musiał.

Staął niemal skonfundowany we drzwiach oficyny, naprzeciw której wprost, w drugiej jej odpowiadającej, widać było całe towarzystwo

oczekiwać się zdające na niego, aby się z niem powziętą wiadomością podzielił.

Niecierpliwiono się, Fribes ręką na niego machał, aby prędzej powracał. Pokutyński stał i namyślał się.

Było naówczas we zwyczaju i w modzie, zwłaszcza u ludzi z dowcipu słynących, do których właśnie zaliczano Pokutyńskiego, trefnie mistyfikować towarzystwo.

Mistyfikatorowie, którzy umieli zręcznie puścić fałszywą wiadomość, uczynić ją prawdopodobną, zwieść przyjaciół lub doprowadzić ich do jakiego kroku wywołanego skomponowaną pogłoską — wslawiali się tym talentem.

Mistyfikowano często w bolesny i przykry sposób, dla uciechy, zabawienia się, gdy konceptu do zabaw i ochoty brakowało.

Pokutyński nie czyniąc jak inni rzemiosła z mistyfikacyi, niekiedy z wielką zręcznością wprowadzał w błąd najumięj nawet łatwowiernych. A że mu się to trafiało rzadko, nie posądzano i wiarę zyskiwał.

Chociaż miał wiele współczucia dla Burzymowskich, nie mógł się teraz oprzeć chęci zmistyfikowania ciekawych.

Wszyscy oczekiwali jakichś wiadomości z Warszawy, on rozmawiał z majorową, mogli więc ci panowie przypuszczać, że się coś o szambelanówie dowiedział, która tak nagle ztąd znikła.

Przyznać się do tego, że go Habąkowska odprawila z niczém, nie chciał, postanowił więc zażartować sobie.

Tłómaczyła ten żart niewczesny okoliczność, że się nie bardzo tragicznego nie spodziewał, i spokojny był o przyszłość Sylwii, której energiczny charakter znał lepiej od innych.

Ułożył więc plan i minę nastroił do niego stosowną, stojąc we drzwiach. Nierychło, wolnym krokiem, z powagą, zamysłony, począł się zbliżać ku kawiarni.

Na wystawionych przed nią krzesłach siedzieli dworacy księcia, paląc fajki na długich cybuchach.

Zamor uwijał się z węglami i skórzanym, żółtym tureckim kapciuchem.

— Ale cóż bo tak leziesz na raku? — krzyknął Fribes do zbliżającego się Pokutyńskiego. — Chodźże — chodź!

— No, idę, a spieszyć nie mam z czém, — odezwał się seryo Pokutyński.

Przyszedłszy do nich stanął zasepiony i milczący.

— Cóż, pani Jutka przywiozła jakie wiadomości? — zapytał Fribes.

Pokutyński zamiast odpowiedzi na pytanie zażądał od Zamora węgla do zgasłej fajki.

Wszyscy patrzyli nań z ciekawością, z rysów twarzy zwykle wesółych, teraz posepnych, czy-

niąc wnioski, że musiał przynieść coś niedobrego.

Fribes się zbliżył do niego.

— Cóż tedy? co?

— Nic nie wiem! — odparł Pokutyński.

To „nie wiem“ wymówione było tonem tak wystudyowanym, iż dla wszystkich znaczyło nie co innego nad — „Wiem, ale wam nie powiem!“

Spoglądali po sobie siedzący.

Nadzwyczaj ciekawy angłoman odciągnął na stronę szambelana.

— Ale, powiedzże choć mnie, na ucho, co cię stało?

— Nie mogę.

— Mnie...

— Ani tobie, ani nikomu!

— Ale, pod sekretem!

— Słowo honoru? — szepnął szambelan.

— Słowo honoru najuroczystsze! — szybko odpalił Fribes i ucha nadstawił.

— Nie mów nikomu, nie trzeba żeby się to rozchodziło! Tragedya smutna, powiadam ci. — Burzymowska rzuciła się do Wisły, jak królowa Wanda!

Powiedział to jakoś smutnie, tonem żalonym, tak iż Fribes mu uwierzył.

Zdała patrząca reszta towarzystwa spostrzegła ten szept, minę przestraszoną angłomana — i nic więcej.

Pokutyński natychmiast odstał kilka kroków.

Zbliżył się doń z kolei Kamenecki i wziął go pod rękę.

— Cóż mówi majorowa?

— Ale, nie wiem! — odparł znowu szambelan.

— Ba! mów komu chcesz! Cóż to znowu? Ja u ciebie mniej na zaufanie zasługuję niż Fri-bes, — począł dawny adjutant księcia.

— Ale, dajże ty mi pokój! nie mogę mówić! nie ma nic!

Kamenecki począł męczyć, nalegać, wyzwał go na słowo Pokutyński i szepnął mu na ucho.

— Na Boga! nie gadaj nikomu! Otrula się...

Taż sama ciekawość, która dwu pierwszych napędziła w sieci szambelana, nie dała Rautenstrauchowi wytrzymać, począł i on, odciągawszy na stronę, męczyć Pokutyńskiego o powie-rzenie mu tajemnicy.

Pokutyński opierał się mocniej jeszcze i dłu-żej, uległ nareszcie i powiedział mu na ucho, że szambelanówna za indultem wyszła dnia wczoro-rzszego za mąż za Zatorskiego.

Z kolei tak czwartemu, wzięwszy od niego słowo zaręczał, że zaślubiła barona de Beaumont; piąty się dowiedział, że z Grabskim wyjechała do Paryża. Obdzieliwszy tak wszystkich cieka-wych, którzy siedzieli milczący rozmyślając nad losem szambelanówny, Pokutyński z wielką po-

wagę usiadł na podaném mu krześle i fajkę kurzyć począł.

Po pewnym przeciągu czasu z oficyny pani de Vauban, ukazał się wychodzący z fajką zagasłą, z głową spuszczoną, z twarzą która nowiny pokombinowane przez Pokutyńskiego zdawała się potwierdzać, książę Józef.

Wszyscy mu się ze współczuciem przypatrywali zdaleka.

Książę, co było rzeczą zupełnie niezwykłą, ponieważ Brodowski jeszcze śniadaniem był zajęty, Zamorowi kazał zawołać do siebie francuza Harela.

Harel zajęty w samym pałacu około pokojów, wybiegł w rannéj toalecie.

Książę zwrócił się ku niemu.

— Idź, proszę cię, powiedz Schusterbauerowi (koniuszemu), aby natychmiast kareta dla hrabiny do Warszawy była gotowa. Angielski zaprząg, ty i strzelec. Niech zajadą, jak tylko konie zaprzęgą. *Et vite!* — dodał książę.

Wydawszy ten rozkaz zaczął się przechadzać. Przyjaciele nie pojmowali, po co jeszcze pani Vauban potrzebną być mogła tak pilno w Warszawie, gdy wszystko już było skończone. Spoglądano ciekawie, ruszając ramionami.

Wąsaty Schusterbauer zjawił się zaraz od stajen, meldując księcia, że angielski zaprząg nie

mógł być użyty, bo jeden z dżokejów w nocy zasłabł.

— A zatém, wiedeńska piątka pocztowa! — zawołał książę z trochę niecierpliwości, i dodał powtórnie — *Et vite!*

Schusterbauer pobiegł ku stajniom.

Panowie czekali czy im co książę nie powie, ale Pepi był tego dnia bardziej jeszcze niż zwykle zamkniętym i milczącym. Chodził z głową zwisłą, nie mając ochoty nie tylko się odzywać, ale ani nawet słuchać żywej rozmowy, którą przyjaciele rozpoczęli umyślnie w nadziei, iż książę się da do niej wciągnąć i rozerwać.

Mówiono o koniach, o faworytalnej klaczy księcia angielskiej, o ostatnich nowinach europejskich, które poczta przyniosła.

Sprzeczano się, dochodziło to do uszu księcia, ale nie odezwał się wcale, chodził zadumany.

W tém z jednej z oficyn ukazała się wyskakująca, nieco za młodo i za fertycznie, osóbką niewielkiego wzrostu, w obcisłej z ogonkiem sukni kaszmirowej białej, szlakami szalu wschodniego obszytej, podpasana wysoko pąsową wstęgą, z drugą podobną szarfą w napiętrzonych włosach jasnych; jak na rano, zbyt może wygorsowana, wesolutka, udająca trzpiotowatą i dziecinną, choć sińce pod oczyma i zarysy marszczek o latach przeżytych smutne dawały świadectwo.

Była to sławna pani de la Brétèche.

Zobaczywszy księcia kroczyła wprost ku niemu z zuchwalstwem, które w podziw i admiracyę razem mężczyzn wprawilo.

Książę jednak, który powinien był oszczędzić jej pół drogi i pospieszyć na spotkanie, został w niejsu jak przykuty, odwrócił oczy i na twarzy okazał widoczny niesmak i zniecierpliwienie.

— A! co za dzień rajski, mój książę! — wołała zdaleka mrugając oczkami. — co za dzień! Nigdy się nie spodziewała, ażeby w tej Polsce lodowatej, taka piękna wiosna kiedy być mogła! Ale ona mi przypomina moją ojczyznę, południową Francję, — dodała z westchnieniem, -- tylko że tu nie ma rozkwitłych migdałów!

Książę stał nie okazując nawet ochoty przywitania się z nią, na co ona wszakże pozwolić nie mogła.

Stała też przed nim podnosząc do góry głowę, aby mu zajrzeć w oczy.

— Dzień dobry! — zawołała.

— Dzień dobry!

— Książę ma dziś minę niewesołą?

— Nie wiedziałem o tém, — odparł Pepi od niechcenia, — to prawda, że jestem znudzony bardzo.

— Chodźmy się przejść po parku! Ranek tak cudny!

— Przepraszam, mam zajęcie, — rzekł książę

coraz zimniej, — może który z tych panów służyć jęj będzie.

Wskazał ręką na siedzących.

Nikt się jakoś nie ofiarował.

Ruszyła ramionami Bretesza, i trochę urażona, nie wiedząc co z sobą zrobić, zapytała Kameneckiego, z którym była bardzo poufale.

— Cóż to dziś księciu?

— Nie wiem, — odparł sucho adjutant, który się do tonu pana nastroił.

Może sądząc że zazdrość obudzi, Bretesza podeszła pod oficynę zaczepiając młodych panów półsłówkami dwuznacznymi; wszystkich znalazła w jakimś usposobieniu żalobnem.

W końcu przekonawszy się że tu nie ma co robić dłużej, wróciła do dam, które szła odwiedzić.

Pokutyński spotkał ją na drodze.

— Może szambelan mi powiesz, co was wszystkich taką melancholią zraziło?

— Jak to! pani nie wiesz nic?.. — zapytał niby zdziwiony szambelan.

— Zmiluj się! Nic a nic!

Pokutyński ze smutnem obliczem pochylił się do jęj ucha.

— Proszę tylko mnie nie wydawać z sekretu! Książę nasz jest zrujnowany! kapitały, które miał na jednym holenderskim banku, razem z nim

przepadły. Katastrofa okropna, lecz proszę pani jeszcze raz, ażeby to między nami zostało!

Francuzka posądziła może w początku szambelana, że z niej żartował, ale Pokutyński był doskonałym artystą. Twarz jego mieniła się wedle wymagań sytuacji, wydawał się tak przybity i zmartwiony, iż Bretesza przelekła się i zmięszała. Zbladła o tyle, o ile jęć róż na twarzy rozpostarty dozwalał, i cofnęła się do oficyny,

Szambelan jeszcze raz zaklął odchodzącą. Żeby go nie wydawała z sekretu.

Właśnie w tym samym momencie odezwała się od stajen trąbka i tak zwana piątka pocztowa wiedeńska zaprzężona do wygodnej karetki pani de Vauban, zwróciła oczy wszystkich.

W książęcej stajni, oprócz kilkudziesięciu koni wierzchowych i paradnego cugu, którym stary Czerepiński powoził, było dosyć czwórek i piątek polskich i korsykańskich, ale wiedeńskiej nie zrównała żadna. Konie lekkie, piękne, doskonale dobrane szły jak panienki w tańcu, z gracyą, z humorem. Służba do nich na wzór poczt niemieckich ubrana, w palonych butach, łosiowych spodniach, wykładanych frakach, stosowanych kapelusikach, była wytworna i elegancka, aż patrząc na nią każdy się cieszył.

Książę też powiódł oczyma za swymi gniazdami, a Fribes się do nich uśmiechnął. Postylion powożący z blachą na rękę, popisywał

się z trąbką, która wszystkich do okien i drzwi powoływała.

Karetką zatrzymała się przed oficyną i nie bawem pani hrabina de Vauban z Habąkowską, która tylko co przybywszy, już jej nazad towarzyszyć musiała, siadły do powozu.

Postylion zagral, uderzenie z bicia rozległo się po dziedzińcu i ze zdumieniem wszystkich — karetką, klusem wyciągniętym gniadoszów, potoczyła się ku Warszawie.

Hrabina, delikatna, niebardzo znosząca podróżę, do ранnego wstawania nieskora, że się dała sklonić do wyjazdu, dawało do myślenia wiele. Dziwniejszém jeszcze i bardziej zagadkowym było, iż majorowa zaledwie wysiadłszy, na powrót z hrabiną jechała...

Łamano sobie głowy, a każdy ze zmistylikowanych przez Pokutyńskiego inaczej to sobie tłómaczył.

Najnieszczęśliwszą była podobno Bretesza, której udzielona wiadomość o ruinie, wszystkie plany na przyszłość osnute, krzyżowała.

Książę zniknął z dziedzińca, dwór też dopałszy fajek rozechodzić się zaczął, rozmyślając nad niespodzianą komplikacją wypadków, mogących na czas jakiś zachmurzyć horyzont Jablonnej.

Przy obiedzie rozmowa jakoś nie szła, wszyscy byli tak posępni jak gospodarz, który od-

powiadał roztargniony półsłowami i żadną nie zdawał się interesować rozmową. Nie poszedł potem nawet do bilardu i siadł w oknie sam jeden.

Pani Cichocka, Bretesza i dwie francuzki, widząc go tak chmurnym, pocieszać i rozrywać nie śmiały.

Chociaż wszyscy Pokutyńskiemu dali byli najnroczytsze słowo, że powierzonych nie zdradzą tajemnicy, po obiedzie, znalazłszy się sami, Kamenecki z Rautenstrauchem, nie mogąc przypuścić aby względem siebie byli do sekretu obowiązani, pierwsi zagaili sprawę pocichu.

— Proszę cię, co za smutna katastrofa! — szepnął Kamenecki, — i jak to na księcia naszego podziałało! Chodzi jak struty!

— Co za katastrofa? Wyśmienity owszem koniec! — odparł Rautenstrauch. — Lepszego wyboru zrobić nie mogła. Zatorski dobre chłopczyko. Wybraćże kogoś musiała!

— A cóż tu ma do czynienia Zatorski? — spytał zdziwiony adjutant.

— Przecież za niego poszła! — odparł Rautenstrauch.

— Gdzie? co? Przysłyszało ci się! Ona się otrula!

Rautenstrauch ruszył ramionami. W tém nadciągnął Fribes, powołano go aby spór rozstrzy-

gał, bo widziano, jak mu także coś szeptał Pokutyński. Ten powiedział co słyszał od niego.

— Przecież wy to wiedzieć musicie, bo i wam się zwierzał!

— Jak to? on ci to mówił?

— Tak! że się utopiła w Wiśle... — dodał Friebes.

W pierwszej chwili stali wszyscy poglądając na siebie, nawzajem się posądzając o mistyfikację, aż Rautenstrauch parsknął.

— Ale to farsa Pokutyńskiego! — zawołał

Oprócz zmistyfikowanej Breteszy, której nikt nie wyprowadzał z błędu, a ta na kanapce w ciemnym kątku siedziała rozmyślając o nowej kampanii, wszyscy zresztą, przekonawszy się że z nich zażartowano, poszli napaść na Pokutyńskiego.

Szambelan śmiejąc się zeznał, że nie wiedział nic, bo mu majorowa powiedzieć nie chciała z czém przybyła.

Wieczorem, jak zwykle założono bank, książę zaczął się przechadzać po salonach.

Była to godzina, w której się Bretesza do niego przyplątywała, bawiąc go paplaniwą wesolą; tego dnia nie miała odwagi, została na kanapie w ciemnym kątku, rozmyślając nad marnościami świata tego.

W salonach goście zasiedzieli się do późna. noc była majowa przesłiczna, z księżycem i sło-

wikami, jedna z tych cudnych, w których każdemu śni się o miłości i szczęściu. Okna były pootwierane, z za starych drzew parku blady księżyc zaglądał do wnętrza, a pieśń słowików rozlegała się płynąc na woni bzów rozkwitłych. Spać nikomu się nie chciało.

Tak przy faraonie i cichłej rozmowie doczekano się głosu trąbki pocztowej, która zdaleka, nim się turkot powozu dał słyszeć, zabrzmiała.

Książę z widocznym niepokojem pospieszył na ganek.

Trąbka zabrzmiała bliżej raz drugi i w bramie ukazała się piątka pędząca przed pałac tak żwawo i raźnie, jak zrana biegła ku miastu.

Harel otwierał drzwiczki, strzelec miał z drugiej strony podać rękę hrabinie, gdy sam książę wyręczyć go pospieszył.

W ganku oprócz niego cały dwór niewieści pani de Vauban oczekiwał na nią.

Księżciu, który zdawał się chcieć spytać o coś, przybyła wskazała majorowę, kładnąc rękę na piersiach aby mu dać do zrozumienia, iż ze znużenia słowa wymówić nie mogła. Sparta na ręku swych przyjaciółek, hrabina weszła do pałacu, a książę został sam z Habąkowską.

Oczyrna naglił ją, aby mu prędzej powiedziała co się dowiedziały, co zrobiły. Z miny majorowej trudno było co odgadnąć, sznurowała

usta, rzucala wejrzenia ukośne, zdawała się chcieć trochę udręczyć niecierpliwego.

— Więc cóż? — zapytał Pepi marszcząc brwi.

— Jak się księciu zdaje? — odparła majorowa tajemniczo.

— Myślisz mnie mistyfikować czy rozgniewać! — zawołał książę trochę niecierpliwie. — Nie zdaje mi się, aby to było w miejscu...

Byłyście w klasztorze?

— W żadnym, bo nie było po co! — odparła majorowa.

— Nie weszła jeszcze?... — pytał książę.

Habakowska ruszyła ramionami.

— Książę jest naiwnym! — rozśmiała się. — O klasztorze się mówi, ale się do niego nie wstępuje tak łatwo.

— A więc?... powiesz mi nareszcie gdzie jest i co z sobą postanowiła?..

Majorowa rozśmiała się wesoło.

— Możemy być spokojni! — poczęła, — młody opiekun Grabski, który się w nią kochał oddawna, zabrał ją za kordon, na wieś. Wyjechali dziś rano. Mogę zaręczyć, że opieka skończy się maryżem!

Odbierzemy *une lettre de faire part*. a! któż wie? może pani Grabska zjawi się na przyszły karnawał w Warszawie!

To mówiąc dygnęła Habakowska. Księżu się twarz wyjaśniła.

— To się zowie dobra wiadomość! — zawołał wesoło.

I wbiegł do salonu zamaszysto, wprost do stolika faranona.

— *Va Banque!*

— Jeżeli karta wygra! — szepnęła podbiegając majorowa, — mnie się będzie coś z wygranej należało!

Książe — przegrał stawkę, ale odszedł tak uśmiechnięty i dobrej myśli, jak nie był jeszcze dnia tego.

— To znaczy, — powiedziała sobie w duchu majorowa, — że ona go przecie kocha; ale wołałabym mniej miłości, a połowę wygranej.

Westchnęła biedna...

Epilog.

Moglibyśmy z czystém sumieniem na tém nasze opowiadanie zakończyć, gdyby dla dopełnienia go nie nawinął się nam pod rękę stary, żółkły kawałek papieru, którego zużytkowaniu oprzeć się nie mogliśmy.

Jest to list pani Wojskiej Czeżewskiej w kilkanaście lat po wypadkach pisany do stariej przyjaciółki majorowej, która, jak się z adresu okazuje, zmieniła była stan i nazwisko, wyszedłszy za mąż za referendarza X., zamożnego człowieka, i spokojniej teraz dożywała dni swych, karmiąc siebie i drugih obfitemi wspomnieniami przeszłości.

List Wojskiej, która pozostała jako kuzynka w domu państwa Grabskich, datowany jest z Bu-

rymowa. Z pisma widać, że w późnym już wieku pani Czeżewska, chociaż jej się ręka trzęsła i oczy niedobrze służyć musiały, żywości umysłu nie straciła wcale.

List, o ileśmy go odczytać potrafili, jest następującej treści:

„Jutko moja najdroższa! Żądałaś dawniej odemnie, abym ci od czasu do czasu o sobie znać dawała, co spełniać mi było miło zawsze, a teraz w wielkiem utrapieniu ducha i smutku mogę powiedzieć, że mi to jest konsolacją jedyną.

Wiesz już z listów moich, jak nadspodziewanie szczęśliwie skończyło się wszystko, za męż pójściem Sylwii za Grabskiego, któremu rok z okładem kazawszy czekać, naostatek w kapliczce domowej naszej, rękę oddała.

Nie mogę powiedzieć inaczej, tylko że małżeństwo było najprzykładniejsze, najszcześniejsze jakie sobie wyobrazić można, jeżeli szczęściem nazwać się godzi — zgodne pożycie, spokój, dostatek i niczém niezamąconą chłodną przyjaźń małżonków.

Co do Grabskiego, ten choć sztywny i milczący, choć się z tém nie wydawał, kochał ją zapamiętale — ona zaś, miała więcej szacunku dlań, wdzięczności, życzliwości, niż czulszego sentymentu. Pozostała zawsze jakąś smutną, melancholijną, małomówną i jedne dzieci, których im

pan Bóg dał dwoje, cokolwiek zdawały się ją ożywiać.

Siedzieliśmy przez te kilkanaście lat, jakem ci pisała, kamieniem w domu, bo ona nigdy nigdzie nie chciała się wychylić z Burzymowa, a on chyba musiał do Lwowa za interesami.

Nie chwaląc się, moja Jutko, gdyby nie ja, z temi dziećmi nigdyby sobie Sylwia rady nie dała, bo, choć je kochała, wychowywać nie umiała, a on sam zasuwowy był.

Córkę już teraz czternastoletnią, mogę powiedzieć, żem na ręku wynosiła, a Wojciech, syn, po francuskuby nie umiał tak jak teraz, gdybym ja go do konwersacyi nie zmuszała.

Nie mogę się też na nich skarżyć, że o mnie zawsze pamiętali i nie zbywało mi na niczém.

Najokropniejszą katastrofą, moja droga, skończyło się to pożycie, — posłuchaj tylko, opiszę z detalami.

W piątek zawsze kozaczek dworski jeździł na pocztę i przywoził nam gazety, bo i on i ona się bardzo polityką interesowała. Jak zawsze tak i teraz oto powrócił rano, gdyśmy przy śniadaniu byli, a że jesienne drogi bardzo złe, o parę godzin się spóźnił.

Poszedł niecierpliwy pan Grabski sam do stajni, aby torebkę z listami i gazetami od kozaczka odebrać, a że już o jakiś wielkiej bitwie, w której cesarz francuski pobity być miał

na głowę, chodziły wieści, był tak ciekawy że w podwórzu począł czytać.

Ja siedziałam w oknie i widziałam, jak chwilę postawszy na zimnie i wietrze, gdyby wknył w ziemię, nagle gazetę do kieszeni wetknął, papiery wszystkie przepatrzył, i powrócił do nas, jakiś jeden list tylko trzymając w ręku.

Sylwia spojrzała na niego że gazet nie miał i zapytała żywo.

— A gazety?

Grabski ruszył ramionami.

— Opóźniły się czy coś... nie wiem, — bąknął, — nie ma.

— Jakże to być może? — uparcie mu w oczy patrząc odezwiała się ona.

— Czasy są takie, moja Sylwko, że spóźnienie gazety niedziwne! — rzekł on.

— Ale właśnie teraz! — krzyknęła Sylwia ręce łamiąc, — teraz, kiedy się losy świata rozstrzygają, nie mieć żadnej wiadomości...

— Uspokójże się, nadejdą one, pošlemy jutro lub pojutrze drugi raz na pocztę.

Ja com przez okno patrzała jak chował gazety, domyśliłam się zaraz, że chce coś przed Sylwią utaić, ale co? tego odgadnąć było trudno.

Z twarzy i z mowy poznać było po nim można, że coś skrywał, że kłamał i pewna jestem, że ona także, przenikliwa bardzo, znająca męża doskonale, musiała powziąć jakieś podejrzenia.

Udała uspokojoną, ale jój krew uderzyła do głowy i oczy się zaiskrzyły. Zadumana siadła w oknie, a po chwili Grabski, który wzroku jój nie mógł wytrzymać, wymknął się.

Chociaż dzień był brzydki jesienny, i wcale się bez tego mógł obejść Grabski, poszedł zaraz potem do gospodarstwa.

Myśmy jeszcze zostały w jałdnym pokoju, ale Sylwia nie mówiła nic, taka była w myślach zatopiona, że swawoły dzieci biegających około stołu zdawała się nie słyszeć.

W tém gdy my tak siedzimy, patrzę, posłaniec jedzie i poznałam, że od pani Cetnerowój, wielkiej jój przyjaciółki. Konia przywiązał i idzie do dworu z kopertą dużą.

Ona go też spostrzegła i drzwi otworzyła do sieni, a posłaniec list jój podał.

Karteczka była, bom ją później czytała, w kilku słowach.

— Posyłam gazetę, którą mąż mój przywiózł, bo jeszcze może nie doszedł was opis tej nie-szczęśliwej bitwy.

Sylwia upuściwszy bilet, natychmiast siadła czytać gazetę. Patrzałam na nią, jak bładła, bładła, dech jój zabiło, chwyciła się za piersi, oczyma zaczęła biegać po arkuszu, który trzymała w ręku. Jedną razą jak krzyknie! dopóki żywa głosu tego nie zapomnę. Gazeta jój z ręki wypadła, a ta błada jak trup w krześle — bez życia...

Skoczyłam do niej cucić..

Wszystko już było próżne.

Nie żyła. Doktorowie mówili później, że jej serce pękło, i że aneuryzm miała.

W gazecie opisaną była bohaterska śmierć księcia.

Wystawzę ty sobie, kochana Jutko, położenie moje, krzyki i przestrah dzieci, rozpacz męża... który w zgon jej wierzyć nie chciał, zamieszanie, chaos, lament, okropność...

Że ja tego nie przypłaciłam życiem, nie wiem czemu to przypisać, chyba żem zaraz wzięła te krople, o których ci pisałam, a bez nichbym już pewno nie żyła dawno.

Gdy doktor przybył, już była zupełnie skostniałą i zimną.

Co się u nas potem przez kilka tygodni w domu działo, jak ten człowiek rozpaczał i rozpacza, opisać nie potrafię. Chodzi codzień na jej grób płakać i modlić się, choć oczywista rzecz, że ona go nigdy nie kochała.

Teraz dom cały na mojej głowie, i córka, do której jest guwernantka polka, ale to — do niczego...

Zc zdrowiem mi coraz gorzej, i gdyby nie krople cudowne...

Grabski cokolwiek odszedł, jednakże zawsze chodzi blady, mało nawet mówiąc, tylko tyle że dzieci go czasem rozruszać mogą trochę.

Namawiałam go, aby wyjechał się rozerwać do ludzi zbliżył, ale on nikogo nie słucha.

Bądź ty mi zdrowa, kochana moja, i obdarz mnie kilką słówkami — i t. d.“

K O N I E C.





KSIĘGARNIA

ANTYKWARIAT



C 502269

Biblioteka Raczyńskich

JIK 793



JIK0793